

**Papi, Jadwiga Teresa**

## **DWORZANIN KRÓLEWICZA JAKÓBA**

I.

Pod niefortunnymi auspicyami rozpoczął się rok Pański 1673-  
ci. Potencya turecka  
znów się ruszyła, a król Michał Korybut Wiśniowiecki  
dogorywał. Mówiono już o  
tem powszechnie, to też u imci pana Golańskiego wojskiego  
Bełzkiego w Uhrynowie,  
ilekroć zebrali się łaskawi sąsiedzi, rozpoczynała się  
natychmiast dyskusya,  
kogoby obrać królem, gdy słabowity syn Jeremiego  
Wiśniowieckiego oczy zamknie.  
Nie brakło w kraju mężów i rodów sławnych, jednakże  
niefortunny ostatni wybór  
odradzał Piasta. Grożące niebezpieczeństwo od Turków  
nasuwało pytanie, czy nie  
lepiej po zgonie dogorywającego króla, poszukać sobie  
potężnego sprzymierzeńca,  
w którym z monarchów Europy, ofiarując mu koronę.  
Lecz imci pan wojski marszczył czoło chmurnie, z jego  
przyjaciół wymówił imię  
obcego

księcia, jako kandydata do tronu, co gdy spostrzegli  
przyjaciele naglili, by  
przyznał się, za kim jego serce, czy rozum przemawia,  
odpowiedział:  
— Czekam ukończenia wojny z bisurmanami; czyje skronie  
Mars laurem zwycięstwa  
ustroi, temu oddałbym rad berło i koronę.  
Za Piastem był przeto... Nieszczęsny traktat Buczacki,  
wstydem palił jego serce,  
gotów był na kolana paść przed każdym, za którego sprawą  
potęga niewiernych  
byłaby złamaną i upokorzenie pomszczone.  
Zabrawszy na mocy pokoju buczackiego potężną twierdzę  
Kamieniec i zmusiwszy  
Michała Wiśniowieckiego do obietnicy płacenia haraczu,  
rozgospodarowali się  
Turcy w zdobytych nad Dniestrem ziemiach i pragnęli  
nowych zdobyczy, o Lwów  
nawet się kusząc.  
Postanowiono tedy zerwać układy Buczackie. Wielki hetman  
koronny Jan Sobieski,  
pośpieszył na czele nielicznych, lecz dobranych hufców,  
przeciwko Osmanom.  
Był dzień świąteczny cichy i pogodny; pan wojski z rodziną,  
którą składali żona,  
syn dwunastoletni i córeczka dziesięć wiosen licząca, siedział  
na ławie przed  
domem, wpatrzony w dal, zasepiony mocno, wzdychając  
ciężko od czasu do czasu.  
— Co ci takiego, panie Janie? — zapytała go małżonka —  
wzdychasz, jak gdyby

nieszczęście wisiało nad nami, a przecież chwała niech będzie  
Najwyższemu,  
zdrowić jesteśmy wszyscy, urodzaje zapowiadają się  
niezgorzej,

Golański mocniej jeszcze westchnął.

— Jak się nie frasować, kiedy nie mogę razem z drugimi pójść  
na Turków — odparł  
z nowem westchnieniem.

— Nie grzesz, Janie sarkaniem, dziękuj Bogu, że ponoć  
fortuna znów się ku nam  
zwróciła — odparła pani Hanna. — Nuda cię kusi, każ dosiąść  
chłopcu cisawego,  
niech harce na dziedzińcu wyprawia.

Wojski uśmiechnął się.

— Człek choć stary, zawdy dzieciakowi podobny; potrzebna  
mu kara i nagroda —  
rzekł łagodnie.

— Ot, po twoich słowach pierzchł smutek.

To powiedziawszy, zwrócił się do syna.

— Jaśku! biegnij do stajni po cisawego, a i mego  
przyrowadź, poharcujemy razem  
— dodał.

Chłopiec, który w milczeniu słuchał rozmowy rodziców,  
zerwał się teraz rażno i  
niebawem powrócił na dzielnym wierzchowcu, wiodąc za  
sobą drugiego.

Marysia aż w ręce klasnęła z radości.

— Zuch z naszego Jaśka — zawołała.

Ojciec pogładził jej płowe włosy, poczem wstał, by dosiąść  
swego karosza, gdy  
pani Hanna wskazała ręką na gościniec.

— Jakaś drużyna tu ciągnie, — rzekła — może z wojny wracają.

Wojski dłonią oczy przysłonił.

— Nieinaczej — odparł — świecą na nich pan-  
cerze, odprowadź Jaśku konie; goście jadą, dobra nasza!  
Dwór Uhrynowski wznosił się wśród pól rozległych, na które  
z ganku oko mogło  
biedz swobodnie. Wojski poszedł ścieżyną wydeptaną wśród  
tych zielonych pól do

gościńca, którym jechało w tej chwili kilkunastu jeźdźców.

— Witajcie bracia! — zawołał zdala. — Raczcie wstąpić do  
mego lichego domku.

Czem chata bogata, tem rada. Zajedźcie choć miodkiem  
ochłodzić spieczone wargi.

Jeźdźcy nie dosłyszeli całej przemowy, jednak wyrazy:

"witajcie bracia" głośniej

wymówione, dobiegły ich uszu, więc dawszy koniom ostrogi,  
pośpieszyli ku

przyzywającemu ich gościnnemu gospodarzowi.

— My z pocztu wielkiego hetmana, który do Warszawy  
śpieszy, bo miłościwy król

Michał, świeć Panie nad jego duszą! nie żyje! — rzekli!

— Wieść ta dobiegła nas na polu bitwy pod Chocimem.

— Prędzej niż mnie w domu — odparł wojski. — Wieczne  
odpoczywanie racz dać Panie

zmarłemu, a narodowi rozum, by godnego wybrał elekta.

— Lepiej niż ostatniego — odezwał się jeden z rycerzy.

— Nie potępiajmy umarłych, oni już przed sądem Bożym —  
przerwał wojski, a potem

dodał: — Z oblicz waszych widzę, iż hetmanowi dobrze się  
wiodło na polu bitwy.

— Pod Chocimem rozgromił dwakroć liczniejszego  
nieprzyjaciela — odezwał się pan  
Marek Matczyński. — Kiedy ujrzeliśmy olbrzymi obóz  
Hussyna, większość traciła  
ducha. Pac, Radziwił, Potocki radzili cofnąć się, ale Sobieski  
rzekł:

— Szyję mi utnijcie, jeśli ich nie wezmę!  
I wzięwszy trzy kolumny piechoty, sam je powiodł, konia  
powierzywszy giermkowi.

— Odważnie, w imię Boga! — krzyknął na idących za nim,  
szablą torując sobie  
drogę.

Dopiero na pół strzału pistoletowego dosiadł konia, aby  
zdobyciem obozu  
Haseynowego pokierować. Piechota przebyła szczęśliwie  
wały, lecz konnica  
turecka naraz wypadła i otoczyła ją zewsząd, wówczas na  
znak dany przez hetmana,  
ruszyła hussarya i poszła naszym w pomoc. Zawrzał bój  
zacięty, naciśnięci przez  
nas Turcy tłumami poczęli uciekać na most; chcieliśmy  
pogonić za nimi, gdy  
powstrzymał nas krzyk trwogi, który straszliwym głosem  
wzbił się pod obłoki.

Załamał się most, Dniestr porwał tysiące Muzułmanów, a my  
wkroczyliśmy jako  
zwycięzcy do obozu Husseyna. Dziesięć tysięcy Turków  
zginęło w tej rozprawie,  
130 armat dostało się w nasze ręce. Z pod Chocimia mieliśmy  
iść pod Cecorę,  
gdzie powiadano nam, że stoi Kapton basza z dwudziestu  
tysiącami ludzi, lecz

przyszła wiadomość o śmierci miłościwego pana i rycerstwo  
zażądało powrotu.

Teraz jedziemy do Warszawy, hetman wysłał nas przodem,  
aby mu nocleg przygotować  
gdzie wypadnie, zaczem zamawiamy go u Waszmość pana.

Golańskiemu twarz się rozpromieniła.

— Zaszczyt nielada spotka mój domek ubożuchny — odparł  
— ale czy hetmanowi

będzie w nim dość wygodnie; izby niewielkie.

— Pod gościnną strzechą Bóg ściany rozszerza i szpichlerze  
napętnia — odparli

rycerze. — Cóż to my o wojskim Golańskim nie słyszeli.

— Więc chodźcie za mną, wychylić tymczasem po czarze  
miodu i koniki napoić.

Potem dwóch na spotkanie po hetmana podąży, inni pomogą  
rozszerzyć moje ściany —

odparł wesoło wojski.

I powiódł rycerzy do dworu.

— Hanno! — zawołał — mamy gości, wielkich gości!

Jasiek, który zrazu, gdy ojciec kazał mu odwieść konia do  
stajni, zasepił się,

teraz na widok rycerzy zapomniał o harcach obiecanych.

Stał z rozwartymi ustami, nie słysząc wołania ojca, lecz pani  
Hanna oraz Maryś

posłyszały je zaraz i kazały służbie wynieść z izby stół na  
ganek, poczem Maryś

śnieżnym obrusem go zasłała, a pani Hanna dzban z miodem  
postawiła i piernik

przedziwny domowej roboty.

Goście ucałowali matce ręce, dziewczęciu ukłony złożyli,

Maryś dygnęła

zapłoniona, pani Hanna poczęła przeproszać za skromny podkurek obiecując, iż niebawem sutszy zastawi, gdy już hetman nadjedzie.

Popijając miodek, goście opowiadali o potyczkach stoczonych i przygodach z życia obozowego.

— Mikołaj Sieniawski doszczętu zniósł Tatarów Lipków — mówił z werwą chorąży Średnicki. — Turcy są tak przerażeni zwycięstwami naszego hetmana, iż uciekają na sam jego widok. Kapitan basza dowiedziawszy się, że hetman zamierza ruszyć pod Cecorę, uciekł stamtąd.

— Hm! hm! ciekawa rzecz, kogo też na elekcji wybierzemy?

— odezwał się Golański.

— Powiedźcie jakiego kandydata forujecie? — zapytał go nagle jeden z towarzyszy.

— Zdania nie zmieniłem, bom nie chorągiewką na dachu — odparł Golański. —

Głosowałem i głosuję za Piastami; temu oddałbym koronę, kto zwycięstwem r. ad

Turczynom zetrze wstyd pokoju Buczackiego.

Tak gawędzili, a Jasiek słuchał zrazu potem wysunął się cichaczem z ganku;

ojciec spostrzegłszy po chwili syna nieobecność, pewien był, iż pobiegł do

stajni pieścić źrebięta, lub figle wyprawiać z fernalami.

Tymczasem słońce poczęło się chylić ku zachodowi.

— Hetman powinien nadciągnąć niebawem — rzekł jeden.

— Pono już ciągnie, słyszę tentent — odparł Golański i pierwszy podniósł się —

nieinaczej, już jadą gościńcem — dodał.

Chorąży i rotmistrz pośpieszyli na gościniec, a inni za  
gospodarzom na czele z  
kielichami w dłoniach i dzba-

nami miodu zwolna posunęli się do bramy. Hufiec ciągnął  
gościńcem, Średnicki i  
Golański już się z nim spotkali.

— Toć mój Jasiek jedzie przy hetmanie, dalibóg, to on! —  
wykrzyknął naraz

Golański, wyciągnąwszy rękę przed siebie.

W istocie, Jasiek usłyszawszy, że hetman wysłał podjazd, by  
mu nocleg

przygotował, sam naprzeciw bohatera konno pośpieszył;  
dotarłszy do lasu, czekać

postanowił, a gdy ujrzął poczet, wystąpił naprzód, zeskoczył z  
konia i zdjąwszy

czapkę pochylił się nisko przed hetmanem.

— Raczcie pozwolić, miłościwy wodzu, że poprowadzę was  
do naszego domu, ojciec

mój czeka już z wieczerzą i noclegiem — rzekł.

Podobała się śmiałość chłopca Sobieskiemu, zatrzymał konia,  
pogłaskał jego płową

główkę i rzekł:

— Prowadź!

A gdy nadjechał Średnicki z Golańskim, hetman zawołał do  
nich:

— Mości Średnicki, pominiemy snać wybraną przez was  
gościńcę, a damy się zawieść  
onemu pacholęciu, które bardzo mi do serca przypadło.

— To pacholę wiecie was, miłościwy hetmanie, do tego  
samego domu — odparł

wesoło Średnicki. W tym gaju hufiec wygodnie się rozłoży, a  
wy, jeśli wola



przyjmiecie gościnę imć pana Golańskiego, dziedzica  
Uhrynowa, ojca owego  
pacholęcia.

— Zgoda! — wykrzyknął hetman, potem zwrócił

się do chłopaka, który trzymał się go blisko, spełniając rolę  
przewodnika.

— Jak ci na imię ?

— Jan Golański — odparł śmiało chłopiec.

— A czemu twój ojciec nie był z nami na wojnie?

— Rycerzem był za króla Jana Kazimierza, ale mu Szwedzi  
prawą rękę zabrali, więc  
teraz jest wojskim — rzekł Janek.

Gdy dostojny gość zwrócił się w aleję, wiodącą z gościńca do  
dworu, wojski  
wyszedł na spotkanie.

— Niech żyje bohater z pod Chocimia — zawołał.

I napełniwszy roztruhan złoty, podał go hetmanowi.

— A czy masz, panie bracie, drugi ? — zapytał go Sobieski.

Jeden z towarzyszy, którzy z imci panem Gdańskim tu  
podeszli, podał mu  
natychmiast swój kielich.

— Napełnij go i wychyl — rzekł hetman.

A gdy dziedzic Uhrynowa spełnił jego życzenie i na jego  
cześć miód wysączył,

kazał mu powtórnie napełnić kielich, podniósł swój w górę i  
zawołał:

— Cześć rycerzom!

— Cześć! cześć! — zawołali inni i wyciągnęli ręce z  
kielichami do Golańskiego.

Wojskiemu oczy łzami zaświeciły.

— Teraz mój dom, raczcie hetmanie nawiedzić — rzekł, i  
konia za uzdę ująwszy,

powiódł go razem do dworu.

Tymczasem pod dozorem pani Hanny nakryto

wielki stół w głównej komnacie i wytoczono beczkę przedniego wina.

Nieśmiała, ale gościnna wojszczyzna, załatwiwszy się z obowiązkami gospodyni,

wyszła na ganeczek z córuchną i czekały razem gości, a gdy hetman zsiadłszy z

konia, podszedł ku nim i piękną, lubo trochę napuszystą mową, począł przeproszać

za najazd, pani Hanna oczy spuściwszy odparła:

— Gość w dom, Bóg w dom.

Czy cud anielski jak u Rzepichy, rozmnożył w domu imci pana Golańskiego jadło,

czy gospodarność jego żony, o to goście nie pytali, tylko ochoczo zasiedli do

stołu, na którym piętrzyły się półmiski zastawione pieczysem z ptactwa

domowego, baraniną i wędliną, oraz kosze pełne przysmaków. Janek roznosił

biesiadującym szklanice pełne rubinowego płynu, Marysia owoce i pierniki, pani

Hanna raz wraz znikwała do spiżarni i kuchni.

— Gdy żołądek przestał wołać: "głodny jestem", powiem wam, panie bracie, jaki

projekt powstał w mej głowie co do syna waszego — odezwał się naraz hetman

zwróciwszy się do Golańskiego. Powierzcie mi go, a żołnierzykiem prawym

zostanie... Mam syna, chłopca tych lat, co wasz, matka, jak wiecie, Francuska

rodem, nie po naszymu go trochę chowa; chłopak mi jeszcze,  
broń Boże,

zniewieścieje; wasz zuch udał mi się.

— Pod okiem bohatera z pod Chocima wyrośnie mi syn na  
rycerza — rzekł Golański.

— Ot, dwojgu uciechę sprawilem, uciecha ta głasz-

cze mi serce — odezwał się po chwili Sobieski — ale udał mi  
się ten chłopak!

W tem pani Hanna ukazała się na progu; objęła iednem  
spojrzeniem męża, syna i  
hetmana.

— A tutaj co się stało ? — zapytała. Janek zerwał się z kolan i  
do matki  
pobiegł.

— Matuchno raiła, toć i ty pozwolisz? — zapytał — ojciec dał  
już  
błogosławieństwo swoje.

— Na co ? — odparła pani Hanna zdumiona.

— Pan hetman bierze mnie do siebie, na żołnierza wykieruje

— rzekł Janek prędko.

Pani Hanna pobladła.

— Na wojnę cię powiedzie ? — szepnęła.

— Uspokój się, matko; na wojnę dla waszego chłopca jeszcze  
czas — odezwał się  
hetman.

I powstawszy, podszedł ku stroskanej niewieście.

— Ot projekt rzuciłem — dodał — zechcecie, podziękuję,  
odmówicie, odjadę bez  
urazy.

I powtórzył to, co już Grolańskiemu powiedział. Pani Hanna i  
Marysia słuchały go  
w milczeniu, gdy skończył, matka rzekła:

— Wielka to łaska dla nas, ale i wielki smutek, jednego mamy syna w domu;  
wiedziałam, że czeka mnie rozstanie, ale myślałam, że jeszcze lat kilka nacieszę się nim spokojnie  
Miękkie serce hetmana zrozumiało matkę.  
— Toć jastrzębiem nic jestem, pisklęcia zdradnie nie porwę,  
— rzekł łagodnie —  
pomówimy jeszcze o tem;

nie dziś, bo dziś śpieszę do Warszawy, ale po elekcji postaram się tak sprawę ułożyć, aby wilk był syt i owca cała.  
To powiedziawszy, ucałował pani Hannie rękę.

## II.

W zamku warszawskim, w sali kirem obitej zwłoki króla Michała oczekiwały pogrzebu, lecz mało kto pamiętał o tem; o wiele więcej zajmował wszystkie umysły zwycięzca z pod Chocimia, którego przybycia oczekiwano. Warszawa roiała, się od przyjezdnych, sejm elekcyjny ściągał zewsząd szlachtę, trzeba było obrać jaknajprędzej nowego Pana, gdyż nie ulegało wątpliwości, że Turcyja zechce pomścić klęskę poniesioną pod Chocimem. Już liczni kandydaci kołatali o tron osierocony. Książę Karol Lotaryński, którego popierała Austryja, Kondeusz, książę francuzki, Jakób z Yorku, brat króla

angielskiego, Jerzy duński, książęta Mantui army, Modeny,  
oraz wielu innych

przysłali swoich pełnomocników do Warszawy.

Nowa stolica Rzeczypospolitej roiła się nie tylko od swojskich  
gości, lecz i

cudzoziemców, a wszyscy niecierpliwie oczekiwali przybycia  
hetmana.

Dnia 2 maja ulice miasta już ze świtem roić się poczęły od  
przybranej

świętecznej ludności; mieszczanie i szlachta, Niemcy, Francuzi,  
Włosi spieszyli

z różnych

ulic na Krakowskie - Przedmieście. Aż halabardnicy zmuszeni  
byli przemocą

utorować drogę bohaterowi.

Około godziny ósmej dzwony kościelne oznajmiły

wyczekującym, iż hetman wkroczył

w obręb miasta, a niebawem dzwonom zawtórowały dźwięki  
janczarskiej kapeli,

poprzedzającej pogromcę Turków.

Z dobozem na czele, który srebrnymi pałeczkami bił w wielki  
bęben, janczarowie

wystrojeni w zielone suknie i białe turbany, wstrząsali w takt  
bębna hałaśliwie

swoje triangały, którym towarzyszyły piskliwe tony

piszczałek. Marsz zabrzmiał

uroczyście na Krakowskim Przedmieściu, głusząc gwary  
ściśnionego tam tłumu.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się w głąb ulicy, wszystkie  
usta rozwarły się

jednym okrzykiem:

— Niech żyje Jan Sobieski!

Z obłoków kurzawy wyłonił się za janczarami hufiec rycerzy:  
przodem jechał sam  
hetman w zbroi świecącej, w kołpaku sobolowym, po prawej  
jego ręce Mikołaj  
Sieniawski, pogromca Tatarów Lipków, po lewej  
Jabłonowski, za nimi setki  
rycerzy. Sobieski skinieniem głowy dziękował za powitanie  
radosne, pokręcał węża  
i uśmiechał się; lecz kiedy wkroczył na dziedziniec zamkowy  
zapomniał wkrótce o  
tych, którzy go witali; jego Marysieńka ukochana stanęła mu  
w oczach, dzieci,  
ognisko rodzinne, które tak kochał.  
Zsiadłszy z konia, zwrócił się do panów, którzy z nim razem  
wrócili.  
— Teraz o was na chwilę zapomnę — rzekł — wybaczcie,  
lecz serce rwie się do  
swoich.

To powiedziawszy, na pokoje swoje podążył.  
Marya Kazimiera Sobieska, z domu d'Arquien, primo voto  
ordynatowa Zamojska,  
nazywana przez męża Marysieńką, strojna w atłasy, koronki i  
klejnoty, wybiegła  
naprzeciw męża z najstarszym synkiem Jakóbem. Chłopiec,  
po francusku przybrany,  
miał niebieskie do kolan pończochy, trzewiki miękkie,  
spodnie atłasowe opięte,  
juste au corps (surducik) otwarty niebieski i żaboty  
koronkowe.  
— Jean! Jean! oh, quel bonheur! — wołała dość krzykliwa z  
natury niewiasta.

Hetman uściskał ją, rozrzewniony, potem do syna się zwrócił i pocałował go w czoło.

Po wzajemnych powitaniach i pierwszej rozmowie, rzekł, głaszcząc jego bladą twarzyczkę:

— Ciesz się ! będziesz miał rówieśnika za towarzysza; poweseleją przy nim smutne twoje oczęta.

— Kogo masz mości hetmanie na myśli? — spytała ciekawa Marysieńką.

— Niejakiego Gdańskiego, wojszczyca bełzkiego, odparł Sobieski.

Poczem wziął żonę pod ramię i powiódł ją, opowiadając o swoim projekcie.

— Lecz czy uważałeś na maniery tego chłopca, czy dobrze jest wychowany ? — spytała hetmanowa.

— Bądź spokojną duszko, z ucziwego gniazda pochodzi — odparł hetman.

Marysieńkę odpowiedź ta nie zadowolniła, zmarszczyła czoło i kto wie czy mała burza domowa nie za-

huczałaby, gdyby na progu nie stanął pan strażnik koronny, Stefan Bidzieński,

który nie pytając o pozwolenie aż tutaj dotarł.

— Uniżenie przepraszam, iż przerywam domowego szczęścia chwile — rzekł,

składając niski ukłon — waszego zdania nam potrzeba, hetmanie; od godziny

radzimy, którego z kandydatów korzystniej będzie popierać na elekcyi i zgodzić

się nie możemy. Przybyliście, zarządzcie wśród nas i powiedzcie wasze zdanie.

— Jakich macie kandydatów? — zapytał Sobieski.

— Właściwie dwóch, o innych wspominać nie warto — odparł Bidzieński — Karol

Lotaryński, który obiecuje zapłacić wojsku żołd zaległy i swoim kosztem szkołę

rycerską ufundować, oraz księżę Kondeusz, ten podobne czyni obietnice.

Lotaryńczyka, czy Kondeusza wybrać pytamy jeden drugiego, a żaden stanowczej

odpowiedzi nie daje.

Sobieski wskazał krzesło obok żony stojące.

— Siadajcie, proszę — rzekł.

A gdy strażnik zajął wskazane miejsce, sam wrócił na swoje krzesło, węża

pogładził.

— Wybór trudny zaiste — odezwał się po chwili namysłu — którego radzić i ja się

waham, wiem to tylko, że nam trzeba wybrać króla, któryby naszym, a nie cudzym

wygadzał potrzebom.

— A gdyby znowu Piasta obrać? — spytał skarbnik.

— Kogo? Zastanówcie się, w alternatywie w jakiej kraj jest obecnie, potrzeba nam

króla z szablą mocną i workiem pełnym złota, — wykrzyknął niemal hetman.

— Szabli mocnej daleko szukać nie trzeba — szepnął strażnik Bidzieński,



uśmiechnąwszy się znacząco — a gdybyście pozwolili mości  
hetmanie swą

kandydaturę postawić -- dodał głośniejsze.

Marysieńce oczy zaświeciły, lecz Sobieski porwał się z  
krzesła.

— Za nic! za nic! — zawołał. Strażnik westchnął.

— Z odmowną odpowiedzią przeto powrócę — rzekł — a  
tuszyłem sobie, że będzie  
inaczej.

— Dajcież spocząć, panie strażniku panu hetmanowi —  
odezwała się sprytna

Marysieńka — jeszcze zbroi zdjąć nie zdążył, a już go  
straszyły widmem nowych

trudów. Jutro powtórzcie mu wasz projekt, a może  
spokojniejszą da odpowiedź.

Bidzieński skłonił głowę, by ukryć uśmiech, który pojawił się  
na jego ustach.

— Więc do jutra radę odłożymy — rzekł i oddalił się.

Hetmanowa zwróciła się do męża ze spojrzeniem proszącym.

— Spojrz na twoją Marysieńkę i przedstaw sobie jak pięknie  
byłoby jej w koronie

— odezwała się słodko.

— Nie kuś mnie — odparł pogromca Turków tonem  
widocznie zaniepokojonym — moim  
zadaniem walczyć w obronie kraju, łamać wrogów krzyża, to  
czynić potrafię i to  
czynię. Zdobywam sławę i miłość po-

wszechną, bo idę ścieżką, którą mi Bóg wskazał. Nie ciągnij  
mnie na drogę, którą  
chodzić może nie potrafię. Jam nie polityk, jeno żołnierz,  
intryg dworskich  
rozmotywać nie będę.

— Ja ci pomogę w tej sprawie, znam ludzi — szepnęła Marysieńka.

Hetman westchnął.

— Za ubogi jestem na króla.

— Francya pożyczyci pieniędzy, sama poproszę o to króla Ludwika — odparła hetmanowa.

Sobieski spojrział na zarumienioną twarz żony, uśmiechnął się. Tak bardzo pragniesz korony? — zapytał.

— Jak zbawienia — odparła z siłą Marysieńka: — Narodowi króla bohatera potrzeba, Francya środków nie poskapi dla tego, przed którym drżą Muzułmanie. Czego się wahasz ?

Hetman zamyślił się.

— Zobaczę, pogadam jutro z panami — rzekł po chwili.

— Nie jutro, dziś koniecznie, teraz zaraz, nalegać zaczęła przebiegła niewiasta, chcąc skorzystać z tego, że mąż chwieje się w postanowieniu — spójrz na syna, wychowasz go na rozumnego króla i ród twój wzbije się wysoko; dziedziczni monarchowie wywodzić z niego będą swoje pochodzenie. Hetman miękł w postanowieniu swoim coraz bardziej, gdy młodsze dzieci weszły do komnaty; posadził najmłodsze na kolanach i rzekł do nich z uśmiechem:

— Królewicze moje.

Wyraz tryumfu zaświecił w oczach Marysieńki.

— O jakiś ty dobry! — wykrzyknęła — dzieci ucałujcie nogi ojca, on wam drogę do szczęścia utoruje-

\* \* \*

Dnia 19 maja zebrał się wreszcie sejm elekcyjny, losy trzech kandydatów rozstrzygnąć się miały: Kondeusza, Lotaryńczyka i Sobieskiego.

Gdy wszyscy już zebrali się na Woli, wojewoda Jabłonowski, wszedłszy do namiotów rzekł:

— Na, co nam szukać obcych, kiedy mamy swego bohatera; gdzie znaleźć godniejszego: mężstwo, wiek, doświadczenie, wszystko za nim przemawia; wybierzmy Jana Sobieskiego, bohatera z pod Chocimia.

— Słusznie mówi wojewoda — odezwał się Andrzej Maksymilian Fredro.

— Tak, tak, wybierzmy królem Jana Sobieskiego potwierdzili biskup Chełmicki, starosta Dębski, Stefan Czarniecki i wielu jeszcze innych. Trzydzieści województw poparło wybór Sobieskiego, lecz stronnictwo litewskie Paców założyło veto.

— Nie chcemy Piasta, precz z hetmanem — rozległy się wołania.

— Nie zważajmy na Litwę, ogłosimy królem Sobieskiego! — krzyczeli inni,

— Sobieski oświadczył, iż póki jednomyślnie wybranym nie zostanie, dopóty nie przyjmie korony.

Sejm się przewlekał, radzono, dysputowano, wre-

szcie Litwa mięknać poczęła: zrazu podzieliła się na dwa  
stronnictwa za i  
przeciw Sobieskiemu, powoli przeciwne zmniejszać się  
poczęło, wreszcie wszyscy  
się zgodzili na hetmana, zwycięzcę z pod Chocimia.  
Sobieski przyrzekł, że natychmiast po elekcyi zbierze świeże  
hufce i przeciw  
Turkom wyruszy, że długi państwa zapłaci, założy szkołę  
rycerską i Lwów  
ufortyfikuje.

Z bijącym sercem, z rumieńcami na twarzy, przechodząc od  
okna do okna, nie  
jedząc, nie sypiając nic prawie, oczekiwała Marysieńka.

Nareszcie dnia 21 maja  
późnym wieczorem wpadł do niej strażnik koronny Bidzieński  
i zgiąwszy kolana,  
rzekł:

— Czołem biję przed wami, miłościwa Pani.

Marysieńka klasnęła w dłonie.

— Więc jestem królową! — krzyknęła — Jakóbie! Olesiu! —

poczęła następnie wołać  
dzieci po imieniu, a gdy wszystkie wbiegły do jej komnaty

rzekła — padnijcie na  
kolana, podziękujcie Panu Najwyższemu, który ojca waszego  
raczył wynieść tak

wysoko: hetman Sobieski obwołany królem.

Poczem gdy dzieci do klęcznika pośpieszyły, ona zwróciła się  
do strażnika.

— Kiedyż koronacją się odbędzie? — zapytała.

Strażnik pogładził z miną zakłopotaną przystrzyżoną, krótko  
czuprynę, poprawił

czuba, sterczącego nad czołem.

— To jeno wiem miłościwa Pani, że król jegomość obecnie na wojnę się wybiera --  
rzekł.

— Na wojnę! Przed koronacją! — powtórzyła Ma-

rysieńka, marszcząc czarne brwi — chyba się mylicie, mości strażniku.

— Mamy gotować się do marszu, jutro miłościwy król wyruszyć zamierza — rzekł Bidzieński.

— Ale nie wyruszy, bo ja się na to nie zgodzę — rzekła Marysieńka stanowczym

tonem. — Zamiast gotować się do marszu, poszukajcie panie strażniku szatnego i

każcie mu stawić się natychmiast.

Bidzieński skłonił głowę w milczeniu i oddalił się z wolna, a Marysieńka chwyciła

dzwoneczek, stojący na jednym ze stolików.

Srebrne dźwięki się rozległy, po chwili weszły do pokoju dwie panny służebne i

dygnawszy nisko, rzekły:

— Co imć hetmanowa rozkaże?

— Przynieście moje koronki, klejnoty i suknie, muszę przejrzeć, czego mi brak.

Hetman królem obwołany został, trzeba o szatach królewskich pomyśleć,

Dziewczęta padły na kolana i głowy pochyliły.

— Cześć-tobie, miłościwa pani.

— Potem, potem hołdy oddawać będziecie — niecierpliwym tonem odezwała się

Marysieńka — teraz rozkazy moje spełniajcie.

W tej chwili wszedł do komnaty szatny, odnaleziony przez Bidzieńskiego i

rozpoczęły się narady nad suknią dla przyszłej królowej.  
Wszystkie krzesła,  
stoliki i kanapki w pokoju Marysieńki założono koronkami,  
materiami kosztownymi  
i szkatułkami, na dnie których świeciły klejnoty. Młodsze  
dzieci powstawszy z  
klęcznika z zachwytem oglądały piękne błyskotki, Ma  
rysieńka przymierzała coraz inne stroje, panny służebne na  
pochlebstwa się  
zdobywały; tylko Jakób siedział cichy i zamyślony w głębi  
pokoju; zdawał się być  
przestraszony szczęściem, jakie nawiedziło dom jego  
rodziców.

Późnym wieczorem zjawił się dostojny elekt. Wyczekując go  
niecierpliwie,

Marysieńka pierwsza posłyszała kroki jego i wybiegła  
naprzeciwko.

— Witam was miłościwy Panie — rzekła, chyląc się do jego  
stóp; lecz on podniósł  
ją, do serca, jak zawsze przycisnął.

— Rada jesteś? — zapytał z uśmiechem.

— Pytasz? — odparła ze zdziwieniem — jam szczęśliwa, jak  
nigdy jeszcze nie  
byłam. Kiedyż koronacją się odbędzie — dodała.

— Gdy ostatecznie Turków rozgromię i zawarłszy pokój do  
domu powrócę — odparł  
Sobieski.

— Co? — krzyknęła Marysieńka — ja na to nie pozwolę;  
koronacją musi się odbyć  
pierwej, przed wyprawą.

— Tak postanowiła rada państwa, zgodzić się musisz, aniele

— rzekł łagodnie  
Sobieski.

Lecz oczy anioła zabłysły gniewem.

— Jakże można było zgodzić się na coś podobnego, snąc ktoś nierad z wyboru chce

cię na śmierć posłać — odparła hetmanowa. — Zginiesz na wyprawie i czoła koroną

nie ustroisz. Szablą jeno szastać umiesz, ale nie w przyszłość patrzeć, nie

zgadywać chytre zamiary innych; trzebaż było poradzić się mnie zanim zgodziłeś

się na postanowienia rady; wszakże mówiłam, że

intrygi rozplątywać potrafię. Pytasz czym rada, królową mnie nazywasz, a korona

jeszcze na księżycu, bo dobrowolnie szczęście od siebie, ode mnie i dzieci

odpychasz.

To powiedziawszy, rzuciła się na kanapkę i ukrywszy twarz w dłoniach szlochać

poczęła.

Hetman zbliżył się do niej zakłopotany.

— Uspokój się — rzekł nieśmiało — czemu śmierć mi

wróżysz; z tylu wypraw cały

wróciłem i z tej powrócę, nową sławą kraj i siebie okryję. Nie płacz, bo mnie

serce boli, gdy patrzę na tve łzy.

— Gdyby bolało, poszedłbyś do panów i powiedziałbyś, że jutro odbędzie się

koronacją.

— Tego nie uczynię.

Marysienka głośniej poczęła płakać, hetman westchnął, głową, wstrząsnął,

uścisnął przestraszone dzieci i oddalił się zwolna, lecz

postanowienia rady nie

zmienił, bo sam wniósł ten projekt i uważał go za konieczny.

Nakłady i przygotowania do koronacyi niezgodne są z niebezpieczeństwem napadu nieprzyjaciela — rzekł do zebranych. — Nie dla wystawy wynieśliście mnie na tron, lecz dla wojowania. Powołaniem mojem jest, toczyć wojnę z Turkami i stoczyć ją; wprzód wypełnię powinność, a potem ozdobię czoło koroną.

I ruszyły w kilka dni potem hufce zbrojne pod wodzą Jana Trzeciego na bój;

Marysieńka pożegnała męża, zadąsana, on uśmiechnął się do niej mimo to.

— Wdzięczna mi będziesz z pewnością aśćka w dniu koronacyi, iż bogatszą o jeden klejnot więcej ko-

roną ozdabiam twoje czoło — rzekł wesoło w chwili rozstania.

— Obym zamiast korony welonem wdowim głowy nie nakryła — odparła z westchnieniem przekorna niewiasta.

### III.

W domu Wojskiego Golańskiego coś się jakby zmieniło. Jasiiek, który był duszą gniazda rodzinnego, posmutniał czegoś. Próżno pani Hanna głaszcze synka po twarzy, próżno go pyta, co mu jest, — on milczy, lub wzdycha; próżno Maryś rozweselić go usiłuje, uśmiechnie się czasami, a częściej powiada:



— Ej, daj pokój!

I precz odchodzi.

Jeden ojciec zgaduje, co chłopcu dolega, więc ani go bada, ani rozweselić

próbuję.

Hetman widocznie zapomniał o przyrzeczeniu danem chłopcu i ani posłańca nie śle,

ani listem się tłumaczy. Wojskiemu żal jedynaka.

— Lepiej byłby zrobił, żeby go po próżnicy nie łudził myśli sobie w duszy,

Z chłopcem unika rozmowy o hetmanie i z pamięci jego

usunąć go próbuje, wciąż mu

pracować każe: sianokosu, żniwa i sprzętu pilnować.

— Wyrabiaj się, — mówi — żebyś na gospodarstwie się znał.

Często też na łowy posyła, lub gawędzi z nim o wojnie ze Szwedami, w której brał udział.

Chłopiec słucha uważnie, spełnia jego wolę zawsze chętnie, lecz uśmiech nie

powraca mu na usta i smutek z oczu nie ucieka.

— Zapomnij o hetmanie — odezwał się raz do syna ojciec — i cóż że cię nie wziął

do siebie; gdy w lata podrośniesz, sam poślę cię na wojnę, gdy będzie pod wodzą

którego z moich przyjaciół.

Jasiek pochylił się do kolan ojca.

— Ufałem ja wam i ufam, że nie będziecie ani bronić na wojaczkę iść, i nie to

mnie smuci, abym się obawiał, że rycerzem nie będę, ale boli mnie zawód

doznany... Mnie hetman ujął za serce swoim blaskiem, swoim rozumem, swoją dobrocią; myślałem: "to nie człowiek zwykły, ino archanioł jakiś, a on, jak człek najprostszy zapomniał o mnie i słowa nie dotrzymał... " — Nie wydawaj wyroku zawczasie — odparł wojski. — Na elekcyę śpieszył, elekcyja przeciąga się długo. On sprawami publicznemi zajęty, a przyjdzie czas, przypomni sobie tego wisusa z Uhrynowa. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odezwał się za nimi naraz dobrze znany głos. Obronili się: na schodkach ganku ujrzeli pyłem okrytego sąsiada, a na dziedzińcu przywiązanego już do słupa konia. — Pan Cześnik Dunin! — wykrzyknął wesoło Golański. — A witaj-że nam, witaj!

I pośpieszył naprzeciw niespodziewanego gościa, a za nim Jasiak.

— Skąd Pan Bóg prowadzi ?

— Z Warszawy, z elekcyi — odparł Cześnik, otrzepując wylotami kurz z ubrania.

— Któż wybrany ? Mów na Boga ! My, tu nic nie wiemy! — pytał Golański.

— Wielki hetman koronny, Jan Sobieski, a teraz Jan Trzeci — odparł Dunin.

Golański wznosił oczy w górę, jakby dziękując Bogu za wieść szczęśliwą, potem zawołał wesoło do syna:

— A widzisz smarkaczu, że hetman to jest Miłościwy Pan nasz, nie mógł jeszcze

tobą się zająć!

Jasiek poczerwieniał i głowę spuścił; gość był widocznie zaciekawiony, począł dopytywać.

Weszli na ganek, Golański wskazał na ławę, a gdy siedli obok siebie, Jaśka

posłał po miód, a sam począł opowiadać o obietnicy hetmańskiej.

— Liczcie na Jana Sobieskiego, jak na Zawiszę, szyję dam sobie uciąć, jeśli nie

dotrzyma tego, co obiecał — przerwał mu naraz Dunin,

A kiedy Jasiek podał mu szklanicę miodem napełnioną, podniósł ją w górę i rzekł:

— Żebyś jak najrychlej został policzon między dworzan królewskich!

I wychylił szklanekę do dna.

— Nie marzę już o tem — odparł Jasiek, westchnąwszy cicho.

— Że będziesz mieszkał na dworze królewskim, za to ręczę — rzekł Cześnik — ale

nie myśl o tym dworze, jakoby o Edenie i jakim! Oho! Z królewiczem Jakóbem i

królową Marysieńką nie raz trzeba ci będzie, chłopcze gorzką pigułkę połknąć.

Patrząc na cię, widzę, żeś zuch, żeś na rneża się urodził, a królewicz Jakób,

choć największego wojaka syn, to gagacik o białogłowskich rączkach, który pono

łacniej wygrywa słodkie dumki na flecie niż konia dosiada.

Zażyjesz ty na dworze

królewskim aż do mdłości. Jasiek słuchał, zmieszany.

— Królowa Marysieńka dba o to, by jej synaczkowie piękne skoki wyprawiać

potrafili i po francusku paplali. Będziesz się musiał zastosować do ich obyczajów, bo przysłowie powiada: "kiedy wleziesz między wrony, krakaj, jak i ony".

Ho ho! energiczna to niewiasta — prawil Dunin — nie znacie jej. Robi w domu, co chce; a zobaczycie mości panowie, że do polityki wtrącać się będzie, skłoni męża, by z Francją zawarł przymierze, a Francya z Turkami trzyma.

I zawiązała się poważna rozmowa de publicis.

Cześnik zabawił kilka godzin i dopiero po sutym posiłku odjechał.

— Dufacie panie ojcze, że miłościwy król przyśle po mnie? — zapytał Jasiek po jego odjeździe.

Golański pogładził ciemne jego włosy.

— Musisz wszakże czekać cierpliwie, bo królowie mają wiele spraw na głowie —

odparł łagodnie — toć ty

kruszyną marną jesteś wobec wielkich zadań, jakie Pan nasz miłościwy ma do

spełnienia. Choćby i zapomniał o tobie, za złe brać mu tego nie należy.

Ta odpowiedź powlokła znowu smutkiem rozjaśnione oczy chłopca.

\* \* \*

Odtąd wieści nie brakło w Uhrynowie; codzien przychodziły. Jan III, choć do

Francyi przychylność pokazywał, jednakże podążył przeciw Turkom, którzy cofnęli się na Wołoszczyznę.

— To i koniec może kampanii — rzekł pewnego wieczora Gdański do syna, po otrzymaniu wiadomości) że król powrócił do Warszawy; niema co, może wypadnie nam pojechać tam i przez pana Marka Matczyńskiego przypomnieć się królowi jegomości.

Janek aż poczerwieniał z radości.

— Dzięki wam, ojcze dobrodzieju — rzekł pochyliwszy się do jego kolan.

Od dnia tego znowu począł roić o przyszłości, ale wśród kłopotów gospodarskich do podróży nie przyszło; tymczasem minął rok cały i jesień znowu nastąpiła. Był to

wrzesień, wojski z synem uwijali się w polu, gdy południa jednego ujrzeli

pędzącego na koniu sąsiada. Wicher rozwiewał poły jego kontusza i czapkę z głowy

zdrzeć mu usiłował, ale szlachcic nacisnął ją dłonią.

— Panie ojcze, pono imć pan Dunin pędzi gościńcem —

odezwał się Jasiek, który

pierwszy tętent posłyszał — polecę zapytać, jaka przygoda gna go tak szybko.

I popędził wołając.

— Mości panie cześniku!

Głos jego dobiegł pędzącego, zatrzymał konia, skinął chłopcu głową.

— U was nie zatrzymam się! — krzyknął zdala — twój ojciec bez ręki, królowi na

nic się nie zda, tyś jeszcze za młody; pędzę do tych, którzy za  
oreż ująć mogą.

— A bo co? — spytał Janek.

— Ibrahim Szyszman basza wkroczył w nasze granice —  
odparł Dunin — pono pod Lwów  
ciągnie.

— Bóg wam zapłać za nowinę — rzekł Jasiek i do ojca pędem  
powrócił.

— Ojcie dobrodzieju, zmiłujcie się nade mną! — zawołał —  
jedźmy do Lwowa i  
począł powtarzać słowa Dunina.

— Pańskie oko konia tuczy, mówi przysłowie — odparł  
spokojnie Golański,

wysłuchawszy syna — w obozie na nic się nie zdamy, a tutaj  
potrzebni jesteśmy.

Tyle było stanowczości w głosie ojca, iż chłopiec nie śmiał  
ponowić prośby,  
tylko westchnął cicho.

Tego dnia zjawił się w Uhrynowie jeden z dalszych sąsiadów i  
opowiedział, że

brat jego młodszy z kilku towarzyszami ruszył do obozu  
królewskiego, że król

wici rozesłał, wzywa każdego, co oreżem włada, aby śpieszył  
do Lwowa, gdyż 60,

000 Turków ciągnie ku nieszczęsnemu miastu.

Jasiek słuchał uważnie tego opowiadania, lecz nie odzywał się  
wcale, sąsiad

odjechał późnym wieczorem, a mieszkańcy Uhrynowa po  
wspólnych modlitwach

rozeszli się na spoczynek.

IV.

Król Jan już od dwóch dni bawił we Lwowie, za chwilę miał ruszyć naprzeciw nieprzyjaciela; przybyło mu w pomoc poprzedniego dnia 2000 wojska litewskiego, które przyprowadzili Radziwiłł i Benedykt Sapieha, czuł się więc nieco mocniejszym.

Ranek przyniósł niespodziankę mieszkańcom Lwowa: nocą, spadł śnieg tak wielki, iż na cal pozaścielał ulice. Król zdziwiony stał w oknie i mówił do siebie.

— Słońce śnieg roztopi, narobi błota i marsz nam u trudni. W tem odchyliła się opona, kryjąca drzwi, i wszedł do komnaty Sapieha.

— Przychodzę z językiem, Najjaśniejszy Panie, Turcy ciągną ku miastu — odezwał się ponurym głosem. Sobieski wesa pokreślił.

— To z naszego marszu nic nie będzie — odparł wesoło — Bogu dzięki.

— Rycerstwo czeka rozkazów, miłościwy panie — rzekł Sapieha.

— Działa ustawić na wzgórzach wysokiego zamku, w zaroślach piechotę i ciurów umieścić, sam niedługo tam podążę — odezwał się po namyśle król.

Sapieha się oddalił, król obejrzał się po komnacie, szukając wzrokiem dyżurnego pazia i już miał krzyknąć:

— Kazik!

Gdy chłopiec wszedł, nie wołany.

— Z prośbą biegnę do was, miłościwy panie — rzekł — strażę  
pochwyciły jakiegoś  
młodzieniaszka, przekradającego się od strony Turków,  
chłopiec zaklina się, że  
go znacie i błaga o łaskę widzenia się z wami.

— Przyprowadzić go tutaj — odparł Sobieski. Kazik aż  
podskoczył w górę z  
radości, a król Jan  
roześmiał się głośno.

— Z tego pacholęcia będzie człowiek — rzekł sam do siebie,  
gdy paż znikł za  
drzwiami.

Kazik niebawem powrócił, wiodąc za sobą jeńca.

— Toż to Jasiek Golański — wykrzyknął król ze zdziwienia  
— ale urosłeś przez ten  
czas. Pamiętałem o tobie, tylko odkładałem do lepszych  
czasów wezwanie.

Chłopiec padł przed nim na kolana.

— Miłościwy panie, nie odpychajcie mnie — rzekł,  
podnosząc na króla błagalne  
spojrzenie.

— Czy masz pozwolenie rodziców? — zapytał surowo  
Sobieski.

Jasiek zmieszał się, powstał ze spuszczonej oczami.

— Teraz uciekłem z domu, o pozwolenie nie pytałem, ale  
pewien, że ojciec rad  
będzie — odparł nieśmiało.

— Wracaj do domu; bez błogosławieństwa rodziców  
niebezpieczna sprawa — rzekł  
król.

Z pod powiek chłopca potoczyły się łzy, które króla  
wzruszyły.



— No, no, nie becz; wiem ci ja, że ojciec twój przeciwny temu  
nie był i nie  
będzie, ale za wyjazd z domu

bez opowiedzenia się Jażnię ci sprawi i ta ci się słusznie  
należy.

Tak zwany Wysoki Zamek wznosił się na wzgórzu pod  
miastem. Rycerstwo poprzedziło  
tam króla, który przybywszy zastał już zamek do obrony  
przygotowany.

W" godzinę potem rozległy się na wałach wołania:

— Turcy ! Turcy!

Krocie muzułmanów ukazały się na szerokiej drodze, do  
miasta wiodącej.

Sobieski lunetę do oczu przyłożył.

— Będzie robota — rzekł. Cisza zaległa wzgórza.

— Kto się w opiekę poda panu swemu — szeptał każdy w  
myśli.

Sobieski stał zadumany, naraz zwrócił się do skupionych za  
nim.

— Konia! — zawołał — hussarya naprzód. Wnet  
podprowadzono rumaka, król wskoczył  
na

siodło, dobył szablę, wskazał Turków.

— Górą Jezus! rozpędzimy ich, wiara za mną! — krzyknął.

Rycerstwo poczęło się cisnąć za nim, on ściągnął cugle  
rumakowi, ten dęba

staął, poczem puścił się szalonym pędem ze wzgórza; za  
królem pośpieszyło

rycerstwo, góra zahuczała. Turcy zatrzymali się w pochodzie i  
zmierzyli wzrokiem

nieprzyjaciela.

— Ałlach! — wzbiło się nagle z pośród szeregów  
muzułmańskich.

— Górą Jezus — odpowiedzieli chrześcijanie i wrogie zastępy  
niebawem spotkały  
się, walka zawrzała; ale nie na długo, po półgodzinnem starciu  
Turcy złamani  
uciekać poczęli, Sobieski zrazu kazał ich ścigać, lecz tak  
różnemi drogami  
uchodzili, iż machnął ręką i wrócił na wzgórze.  
Król zmęczony potyczką, oddalił się do swej kwatery i legł na  
tapczanie, wtem de  
komnaty wszedł Sapieha.

— Mamy świeże wieści o nieprzyjacielu — rzekł — pono,  
gdy jedni tutaj nas  
zajmowali, drudzy Trembowłę obiegli; twierdza ledwo dysze,  
komendant Chrzanowski  
już chciał się poddać, lecz na szczęście ma dzielną żonę, która  
na taką sromotę  
nie pozwoliła, powiedziała mu, że prędzej jego i siebie trupem  
położy, niżeli  
twierdzę podda.  
Król porwał się z tapczana.  
— Ocalim zacząć niewiastę i jej twierdzę — rzekł — ruszamy  
pod Trembowłę.

V.

Po odparciu ostatniego napadu Turków, pewien był Sobieski,  
że muzułmanie  
zostawią go w spokoju przez czas jakiś, postanowił więc  
odbyć odkładaną tak  
długo koronację.

Podążył przeto z pod Lwowa do Warszawy po małżonkę i  
dzieci, aby następnie z  
całym dworem udać

się do Krakowa na obrząd koronacji i pogrzeb króla Michała.  
Jasiek dążył za królem, lecz otrzymawszy już pozwolenie i  
błogosławieństwo  
rodzicielskie.

Ciężyła chłopcu na duszy ucieczka z domu, więc jak tylko  
wojsko wróciło do

Lwowa, przy pierwszej sposobności upadł do nóg królowi z  
prośbą o zezwolenie  
pojechania do domu dla uzyskania przebaczenia rodziców.

— Powiadali ludzie, że ojciec jegomość był w mieście, że  
pytał o mnie, ale śnać  
nie mógł doczekać powrotu z wojennej potrzeby — dodał  
głosem wzruszonym.

— Gdybyś nie prosił mnie o pozwolenie nawiedzenia  
rodziców, sam kazał bym  
waszmości do ojca ruszyć — odparł Jan III — i kto wie,  
czybym nazad do dworu  
przyjął, bom dotychczas chował urazę do ciebie, za to, żeś  
uciekł z domu. Zuch  
ci on jest, ten Jasiek — myślałem — ale nie ma serca w piersi,  
ladajaki będzie z  
niego żołnierz. Dziś wracasz mi otuchę, że wykieruję cię na  
prawego rycerza, bo  
żołnierz bez serca, to jeno rębacz, a czasami zbój!

Rodzice w pierwszej chwili z otwartymi rękami przyjęli  
zbiega, o życiu którego  
już wątpili. Gdy pierwsze uniesienie radości minęło, pan  
wojski zabrał się ostro  
do syna, wymawiając mu brak karności i zaufania do ojca. Nie  
obeszłoby się może  
bez kobierca, ale po długiej perorze uścisnął jedynaka.

W dzień rozstania jejmość pani matka zaopatrzyła Jaśka, jako  
przystało  
dworzaninowi królewicza. Znalazły się szaty rozmaite,  
codzienne i odświętne i  
bielizny zapas duży. Siostra puste miejsca w tłumoczkach  
specyałami wypełniła, a  
ojciec wręczył niewielki trzosik pełen dukatów.  
Wyczałowany i przeżegnany przez wszystkich, ruszył chłopak  
wesoło w świat,  
samowtór z pacliolikiem, omijając zaorane i zasiane niwy  
ojcowskie, pogwizdywał  
głośno i roił o nowem życiu, o zamku, o królewiczu. Tego  
ostatniego najbardziej  
był ciekaw. Jeszcze we Lwowie począł dopytywać o niego  
Kazika, lecz Kazik się  
skrzywił.  
— Daleko pono odpadło jabłko od jabłoni — odparł  
zmieniając przysłowie — nasz  
królewicz Jakób to Francuzik... nie lubię go.  
— Za co? Czy za to, że po francusku gada? — zapytał Jasiek.  
— I za to i za co innego — odparł Kazik — on w niczem do  
ojca swego niepodobny —

dodał. — Nasz miłościwy Pan to rycerz duszą i ciałem, a syn jego ciepłe kluski, do niczego, fanfaronik z miną nadętą, a zawsze chłodny i zasepiony. E! ani to z pierza, ani z mięsa, radby tylko tańczył menueta, grał na gitarze, albo wzdychał, śpiewając piosenki francuskiego jakiegoś mistrza Ronsarda.

— Ja go nauczę — zawołał Jasiek — grać na rogu myśliwskim i tańczyć na koniu.

Kazik się roześmiał.

— Prędzej mi tutaj włosy wyrosną, niż tego dokażesz — rzekł, wyciągając do towarzysza odwróconą rękę. Lecz Jasiek nie tracił otuchy, że zyska przywiązanie królewicza i do innych upodobań i rozrywek nakłoni.

\* \* \*

Królowa, dziećmi otoczona, oczekiwała niecierpliwie przybycia małżonka, Stali około niej w wielkiej antykamerze, najstarszy syn, królewicz Jakób, urodzony w 1667-m roku, przez ojca Fanfanikiem zwany i młodsza dziatwa: książę Aleksander nazywany Minionkiem, Konstanty — Filoneczek, Jan i księżniczka Marya-Klementyna. Król uściskawszy wszystkich z kolei, zwrócił się po niej jakim czasie do Jaśka, onieśmielonego widokiem nowych twarzy i kazał mu zbliżyć się do najstarszego

syna.

— Oto twój nowy dworzanin, Fanfaniku — rzekł wesoło —  
wojszczyk Golański,

dzielny chłopak, żyj z nim w zgodzie, a tobie podaruję

"Dworzanina" Górnickiego,

abyś wiedział jakim dworzanin być winien.

Królewicz Jakób w milczeniu powitał przyszłego towarzysza,

chłopcy spojrzeli

sobie badawczo w oczy.

— Tuszę że Waszmość rozsądnym i uległym będworzaninem

— rzekła królowa,

wyniosłym wzrokiem mierząc Jaśka. — W obozie nauczyli

was może towa-

rzysze grubych żartów; wiedźże, iż na dworze królewskim  
takowe nie przystoją. I

ten strój przyjdzie waszmości odmienić, wolę francuski.

Jasiek, zmieszany pochylił się do nóg królowej, przypomniał  
sobie, co mu raz

sąsiad ojca powiedział: "kiedy wleziesz między wrony, tedy  
krakaj jak i ony".

nie odważył się odpowiedzieć, tylko na króla spojrział  
błagalnie.

Ten się roześmiał i rzekł:

— No, no, nie trać zuchu animuszu, ufamy, iż miłościwa, pani  
z twoim strojem się

pogodzi, gdy świąteczne szatki do będziesz z tłomoczka. Co  
do grubych żartów, na

to pewno matka w domu nie pozwalała, więc i na zamku  
powstrzymywać się od nich

Waszmość potrafi, lubo to i owo obilo się o twoje uszy w obozie.

To powiedziawszy pogłaskał zakłopotanego chłopca po głowie.

— Zaprowadź go, Fanfaniku do Duheuma — rzekł do syna — niech mu przy tobie pomieszczenie urządzi. Na wieczerzę przyjdźcie razem do nas.

Podobał się rozkaz ojcowski królewiczowi, ujął Jaśka za rękę i rzekł nieco

wyniośle:

— Chodź!

Lecz na czole królowej ukazała się chmura, spostrzegł Sobieski grożąca, burzę domową, i zażegnać postanowił.

— Niebawem w podróż ruszymy — odezwał się, węża podkręcając — białe czoło mej pani koroną przyozdobię.

Słowa te miały moc czarodziejską; w jednej chwili wygładziło się wyniosłe czoło

Marysieńki, uśmiech tryumfu rozjaśnił jej twarz.

— Nareszcie — szepnęła.. — Już mam cały strój gotowy: szata błękitna jak niebios

sklepienie, złotymi gwiazdami usiana, a w każdej gwieździe brylant świeci,

będzie olśniewał.

— Twoje źrenice będą miały najpiękniejsze blaski i te wszystkich oczarują —

odparł pogromca Turków, chyląc czoło z galanterią.

Marysiénka uśmiechnęła się z nieporównanym swoim wdziękiem.

\* \* \*

Nazajutrz król z rodziną, dworem, panami i rycerstwem, podążył do Krakowa.

Zima usłała śniegiem drogę, więc śpiesznie sunęły kolasy na saniach, rycerstwo konne ledwo nadążyć im mogło.

W starym zamku na Wawelu zagościł król z rodziną i dworem. Dnia 1-go lutego odbył się pogrzeb Michała Wiśniowieckiego a nazajutrz koronacją króla Jana III i królowej Maryi Kazimiery. Z radością i uwielbieniem witano pogromcę Turków i ogólny okrzyk:

— Niech żyje Jan III! — wzbił się pod niebosy.

Tuż za królem i królową przy oddźwięku Zygmunta i innych dzwonów postępowali królewicz i strojny orszak dygnitarzy i dworzan.

Jasiek wzruszony, znalazł wkrótce sposobność aby zbliżyć się do królewicza.

— Mości królewiczu, będziecie bohaterem, jak ojciec wasz, nasz Pan miłościwy.

Spostrzegł już kilkakrotnie, że królewicz jest uparty, więc gdy narzuca mu swoje zdanie zbyt stanowczo, wnet dumnie odprawę daje.

— Toć z niego dzieciak jeszcze, jak z dzieciakiem poczynać z nim należy — myślał



w duchu.

## VI.

Uroczystości trwały dni kilka. Marysieńka z tego była wielce rada, ani razu czoła nie zachmurzyła. Odbywały się też uczyty, na które król zapraszał legata papieskiego Mortellego, posłów różnych państw i znakomitych dygnitarzy koronnych.

Po ucztach tańce urozmaicały gościom czas aż do późnej nocy. Ale po trzech dniach, mimo niezadowolenia Marysieńki, król zamknął się w swoich apartamentach z panami, by radzić o mającym się zwołać tak zwanym sejmie koronacyjnym.

Zaprosiwszy młodsze towarzystwo, damy dworu i obcych gości do siebie, Marysieńka bawiła się dalej, a królewicz Jakób, przebrawszy się w strój francuski, wrócił do swych rozrywek: grał na harfie, śpiewał piosenki francuskie i tańczył menueta.

Ze smutkiem przypatrywał się mu z daleka Jasiek, dziwiąc się, że podobne rozrywki podobać się mogą synowi Jana Sobieskiego. Wtem przysunął się do niego Kazik.

— Cóż, czy nie fircyk z naszego królewicza? — zapytał.

— Zmieni się z czadem, musi się zmienić — odparł stanowczym głosem Jasiek.

Kazik dłoń wyciągnął, stuknął w nią palcem.  
— Tu mi włosy prędzej wyrosną — rzekł i odszedł.

\* \* \*

— Mości królewiczu — rzekł w parę dni potem Jasiek —  
jutro zacne towarzystwo  
wybiera się z zamku na polowanie, czy nie pojechałbyś z  
nimi? I dla mnie byłaby  
to łaska wielka, bo serce mi się rwie do lasu.

Nauczył się już przemawiać do królewicza; poznał, że jest  
dobry, lecz i próżny  
nieco, więc prosił, by mu dać sposobność wyświadczenia  
komuś przyjemności.

— Taki mróz na dworze — odparł jednakże Jakób — mogę  
się przeziębic.

— Czemu inni nie lękają się? — zapytał Jasiek.

— Ba, oni a ja, zupełnie co innego — odparł Jakób z  
najgłębszym przekonaniem, iż  
w istocie jest inaczej stworzony.

Jasiek spuścił oczy, miał wielką ochotę uśmiechnąć się, lecz  
innej drogi  
spróbować postanowił.

— Z waszej przyczyny, królewiczu, chciałbym, żebyśmy  
razem wzięli udział w tem  
polowaniu — rzekł znacząco.

— Jakaż to przyczyna? — zapytał Jakób.

— Francuzikiem, ciepłymi kluskami was przezywają — rzekł  
Jasiek.

Jakób porwał się z łóżka.

— Kto taki? kto śmie? — rzekł — mów zaraz; oskarżę  
plotkarza przed królem,

ukarze go z pewnością.

— Nie wymienię imion, choćbym miał gardło dać — rzekł stanowczym tonem Jasiek — ale mego pana, jako uczciwy dworzanin, musiałem ostrzedz. Królewicz rzucił się na łożę i począł coś mruzczyć do siebie.

Po chwili podniósł się.

— To niech przygotują mój strój myśliwski, uprzedź pana Duheume'a — rzekł — a obudzisz mnie jutro, gdy sygnał dadzą.

Jasiek był uszczęśliwiony, lecz nie okazał tego zbyt mocno.

Ale, gdy oddalił się do swojej komnaty, rzekł do siebie.

— Kto wie, Kaziku, czy nie stanę kiedyś przed tobą i palec o palec trąc, mówić będę, jak to ty mówisz.

— "Zyg, zyg, marchewka" — byle tylko królewicz znów zamiaru nie zmienił.

Nie zmienił jednak zamiaru królewicz, wybrał się nazajutrz rano na łowy w kubraczku zielonym, w butach po kolana, ojca prosił o pozwolenie.

Król uściskał go w miejsce odpowiedzi, poczem rzekł:

— Rad jestem wielce, że u waszmości budzą się męskie upodobania, śnać na rycerza

stworzył cię Pan Bóg, gdy ojca twego na tronie posadził, ćwiczyć się przeto w

tym rzemiośle. Łowy powiodły się nieźle; ubito trzech dzików, dziesięciu wilków,

piętnastu rogaczy i bez liku drobnej zwierzyny. Po niedźwiedzia głębiej nie

zapuszczano się w lasy. Jakób zapalił się tak do polowania, iż zapomniał o

mrozie; z narażeniem życia biegł naprzeciw zwierza, aż go starsi miarkować musieli, by ostrożniejszym był. Gdy wrócił do domu, uścisnął Jaśka i rzekł:

— Tobia zawdzięczam ten dzień tak miły.

Poczem zrzucił myśliwskie ubranie i zwykłe przywdział: oliwkowy juste an corps z żabotami koronkowemi, białe spodenki opięte, pończochy i trzewiki.

— Pójdę królowej o łowach opowiedzieć — rzekł wesoło — pewno trafię na wieczerzę, bo już późno; gdy się posilisz, przyjdź po mnie. Jasiek zrzuciwszy zabłocone ubranie, przybrał się schludnie i udał się najprzód do izby, w której dworzanie na posiłek się zebrali. Spotkawszy tam

Matczyńskiego, pochwalił się przed nim, jako namówił królewicza na łowy.

— Niechże cię ucałuję, mój chłopcze, — rzekł pan koniuszy koronny — za to coś uczynił, siadaj przed najpełniejszą misą.; choć to post wielki się zaczął, ale mamy wyborną wieczerzę: piwo grzane z serem; lepsze to od zamorskich przysmaków.

I poczęli ze smakiem zajadać. Jasiek co chwila zatrzymywał łyżkę, by jakie wesołe zdarzenie z łowów opowiedzieć. Matczyński pierwszy spostrzegł Kazika.

— Co tu chcesz spsocić? — spytał.

Usta chłopca drgały w kącikach, widać było, że walczy ze śmiechem, w oczach jego paliły się złośliwe iskierki.

— Ktoś inny dziś spsocił — odparł Kazik, przybierając surowy wyraz twarzy — bodajby za to do karceru nie poszedł — dodał. — Monsieur Jean Golański, królowa was wzywa.

Jasiek porwał się z ławy.

— Pewno będzie reprimanda za namówienie królewicza na łowy — rzekł wesoło —

mniejsza o to, toż król udzielił pozwolenia.

Kazik pokiwał głową tragicznie.

— Gdybyż reprimanda tylko — odparł i westchnął ciężko.

Po twarzy Jaśka przemknął niepokój, przyszło mu na myśl, że królowa będzie

żądała, aby wyjawiał nazwiska tych, którzy wyśmiewali królewicza. Zadumał się

poważnie, ale po chwili ruszył ręką.

— Idę do miłościwej pani — rzekł stanowczym tonem.

I ku drzwiom się zwrócił.

— Wsadzą., to wsadzą, do wieży — dodał w myśli, ale nie zdradzę towarzysza.

Kazik za nim podążył.

— Nie dufaj ty zbyt w łaski króla jegomomości, bo z tobą źle — odezwał się

po chwili — królowa biega gniewna po swoich komnatach.

— Co jej jest? — spytał posepnie Jasiek.

— Sama ci powie — odparł Kazik.

Gdy docierali do komnat królowej, Jasiek zatrzymał się.

— Coś mi się zdaje, że słyszę szlochanie — rzekł, podniósłszy  
pytające  
wejrzenie.

Figlarzowi drgnęły znowu kąciki ust, ale spłoszył natychmiast  
niebezpiecznego  
gościa i przybrał wyraz poważny.

— Szlocha cały fraucymer, szlochają królewicze i królowa —  
rzekł głosem  
grobowym.

— Cóż się tam stało na Boga? — z gniewem zapytał Jasiek.

— Zaraz sam zobaczysz — odparł Kazik i naprzód podążył.

Jasiek ruszył ramionami, udawał spokojnego, lecz serce  
począło mu kołatać w  
piersiach, gubił się w myślach, co się tam stać mogło, za co by  
miał odpowiadać.

Nareszcie weszli do pierwszej komnaty, dwie panny dworskie  
ocierały tam oczy,

czy z łez rzeczywistych, czy udanych, tego, mijając je  
pośpiesznie, Jasiek

sprawdzić nie mógł, lecz to widział, iż rzucały posepne  
spojrzenia na niego i

słyszał, jak jedna powiedziała:

— Oh, le vilain garçon. (Szkaradny chłopiec). A druga;

— Je le deteste! (Nie znoszę go).

Nie rozumiał znaczenia tych wyrazów, więc go nie obeszły.

W drugiej komnacie spotkał królewiczów, Aleksandra i

Konstantego, których smutne

twarzyczki miały wyraz przestraszony; obaj lubili Jaśka, więc  
przybiegli do

niego.

— Czy wiesz, Kubusiowi uszy spuchły z polowania — rzekł Aleksander. — Mama się gniewa.

Jaškowi wrócił spokój do serca.

— Odmroził trochę uszy, nie ma czego desperować, uszy jutro będą zdrowe —

odparł, i śmiałym krokiem postąpił do komnaty królowej, ale na progu zatrzymał się zmieszany.

Na kanapie zasłanej skórą tygrysią, leżał królewicz z obwiązaną głową, zapłakany i smutny, u nóg

jego siedziała królowna Klementyna z chusteczką przy oczach, dalej na taborecie jedna z faworytek królowej, Francuska rodem, szlochała głośno, królowa biegała

po pokoju i ręce łamiąc, wołała:

— O! comme je suis malheureuse! vivre parmi ces barbares, c'est horrible!

(Jakżem nieszczęśliwa! żyć wśród tych barbarzyńców, to okropność!)

Jakób pierwszy spostrzegł swego dworzanina.

— Jašku! pocoś ty mnie na łowy namówił — rzekł płaczkliwym głosem — jak ja będę teraz wyglądał, ludziom na oczy się nie pokażę.

— A, jest ten zbrodniarz, — krzyknęła królowa. To powiedziawszy, z błyszczącymi oczami do lekko drżącego przybiegła.

— A gdzie mój doktor? szukajcie wszędzie, jeśli niema go na zamku, to posłać

kilku hajduków do miasta, niech go przyprowadzą, bo królewicz...

Nie dokończyła groźby, gdyż Jasiek padł jej do nóg.

— Miłościwa pani, po co tu doktor — rzekł, ręce składając — toż Francuz o

psotach naszej zimy pojęcia, niema, zaszkodzi jeno królewiczowi, zdajcie się na

mnie, jam nietylko uszy, lecz twarz całą każdej zimy odmrażał, a jako widzicie

śladu nie ma. A dziś i mrozu wielkiego nie było.

Królowa spojrzała na urodziwego chłopca, i wyraz jej oczu złagodniał.

— Czemże waści wyleczyli? — spytała.

— Śniegiem jeno, miłościwa pani, wyleczę wam królewicza.

— Probujże, ja wszakże po lekarza nadwornego poślę — rzekła Marysieńka.

Jasiek zerwał się uszczęśliwiony i wypadł z komnaty, jak szalony, niebawem

powrócił z pełną misą śniegu i zbliżył się do Jakóba.

— Trzeba odjąć tę chustkę — rzekł wesoło.

A gdy chory spełnił jego żądanie, począł nacierać spuchnięte uszy śniegiem.

Królewicz krzywił się, sykał, lecz lubił Jaśka i ufał jemu, więc znosił tarcie,

choć go bolało.

Wtem na progu komnaty ukazał się doktor Francuz, któremu Kazik opowiedział całą

przygodę.

Rozgniewany, iż ktoś śmiał wchodzić w jego prawa już od progu zaczął wołać



gwałtownym głosem:

— De l'eau chaude! (Wody ciepłej), Aby wykazać, ie  
dworzanin mylnie leczy:

— Wykap się sam w dłoszodzie — mruknął Jasiek, nie dając  
się zbić z tropu — nie

pozwolę ci okaleczyć królewicza. Pamiętam Bolka  
Rydzyńskiego, pieszczocha

mamusi, który stracił uszy, bo mu je okładała kompresami  
gorącemi — rzekł.

Przestraszony królewicz, nawet zbliżyć się do siebie nie  
pozwolił lekarzowi.

Czuł już, że śnieg ulgę mu przynosi, więc kazał Jaškowi dalej  
rozcierać.

I puchlina zeszła powoli, rozjaśniły się twarze otaczających  
chorego, a królowa

raczyła nawet podziękować dworzaninowi syna; Jakób zaś od  
tego dnia polubił

jeszcze bardziej swego towarzysza. Lecz Jasiek stał się teraz  
ostrożniejszym w  
namowach.

— Cóż twój królewicz, czy nabiera animuszu? — zapytał go  
raz Matczyński.

Jasiek westchnął.

— Jeszcze mu daleko do tego, aby był takim, jakim chciałbym  
go widzieć — odparł.

\* \* \*

Tymczasem na obradach postanowiono przedłożyć sejmowi,  
aby z każdych dwunastu

dymów w kraju stawał jeden żołnierz piechotny z muszkietem,  
amunicją i barwą,  
jednaką w województwie. Dwustu takich muszkieterów miało  
tworzyć jeden oddział,  
oddany pod rozkazy kapitana, koszta uzbrojenia i utrzymania  
tej piechoty mieli  
ponosić obywatele.  
Król czynił przygotowania do nowej wojny z Turcją, gdyż w  
granicach znów  
pojawiły się nowe zagony Turczynów i Tatarów. Wojna  
zbliżała się niestety znowu,  
po raz już niewiadomo który musiał król rozsyłać listy  
przypowiednie, powołujące  
do broni i ciągnąc przeciw Turczyńcy ze słabszemi znacznie  
siłami. Znowu zaczęto  
śpiewać pieśń, ułożoną przez niewiadomego autora, na cześć  
Sobieskiego po  
zwycięstwie pod Chocimem.

"Wielki Sobieski, Marszałku, Hetmanie,  
Niech ci pamiętna sława w tryumf stanie;  
Niech ci Bóg szczęści, żeś był tak walecznym,  
W męstwie statecznym."

"Lud pospolity z serca się raduje,  
A tobie z tego zwycięstwa winszuje  
Największych pociech w niebieskim żywocie,  
Po tym kłopotcie. "

"Więc już najwyższą, chwałę Bogu dajmy,  
I z nabożeństwem do nieba wołajmy,  
Aby na Turki taka padła strata

Przyszłego lata."

"Niech w rękach naszych znajdzie miecze mściwe,  
Za swoją, hardość i zdrady złośliwe;  
Niechaj mu Imię Chrystusowe — oczy  
Strachem zamroczy."

Jasiek, gdy się dowiedział o tej wojnie, wieczora jednego,  
rzekł do królewicza:

— Padnijmy do nóg miłościwemu panu, niech nas weźmie ze  
sobą.

— Padnij, jeśli chcesz, ja w domu wolę pozostać — odparł  
Jakób — za młodym na  
to.

Jasiek nic nie odpowiedział, lecz nazajutrz spotkawszy króla,  
dążącego do  
kaplicy, objął jego kolana.

— Miłościwy panie — odezwał się — mam pozwolenie  
królewicza, weźcie mnie z sobą.

Jan Sobieski pogłodził go po głowie.

— Wiem, wiem, wszakże tym razem nie wezmę, cię z sobą —  
odparł — lichey to

leśniczy, co młode drzewa ścina; gdy na dąb wyrośniesz,  
wówczas strzedz cię nie

będę, ale mi urośnij pierwej, zmeżnij. Ćwicz się teraz w  
przyszłym rzemiośle i  
czekaj swej godziny cier-

pliwie; da Bóg nie ostatnia to moja wyprawa" jeszcze cię sam  
w taniec z

Turczynom powiodę.

Jasiek pochylił się powtórnie do kolan króla, westchnął i wrócił smutny do swej izby.

— Prosiłeś? — spytał go tego dnia Jakób.

— Prosiłem, ale król nie chce mnie wziąć — rzekł Jasiek.

— Wielcem mu jest za to wdzięczny — odparł królewicz, a chcąc pocieszyć

towarzysza, dodał: — Codziennie będziemy teraz konia dosiadali, trzeba się sposobić na przyszłość.

Król Jan i w obozie pamiętał o swej Marysieńce, miewała codzienne listy od

rneża. Raz, gdy Jakób z Jaśkiem weszli do apartamentów królowej, zastali ją z

listem w ręku.

— Dobrze się zjawiasz, mam czytać list otrzymany właśnie od miłościwego pana —

odezwała się Marysieńka.

Jakób zajął natychmiast miejsce na taborecie u nóg matki,

Jasiek stanął opodal,

a królowa otworzywszy świeżo otrzymany list, czytać głośno poczęła;

"Jedyna duszy y serca pociecho, nayśliczniejsza i

naypiękniejsza Marysieńku! Nie

mogąc w żaden sposób doczekać się pod Żurownera języka, ruszyłem wczoray o

pólnocy pod Woyniłów, mil dwie od obozu tureckiego, a milę od kosza hańskiego.

Naprzód skoro świt, spotkawszy się z różnemi partyami

Tatarów, poznosiliśmy ich,

potem zastawszy kilka tysięcy Turków, dobywających

zameczek w Woyniłowie, gdzie

się za-

parli chłopi, na głowę ich wycinaliśmy i aż pod same namioty tureckie y hańskie kosze goniliśmy. Han wieś zapalić kazał i zgorzała koło nas, jak Etna, a tymczasem han wyprawił swoich synów z Ordą y częścią Turków, a drudzy w wielkiej konfuzji y strachu w swoim obozie zostawali. Ci tedy synowie na naszych mocno wsiedli y już niejeden za zgubionego się sądził. Wytrzymawszy jednak ich impet, skoczyliśmy potem na nich y tak przy łasce Bożej nasiekliśmy ich, y niemłą liczbę do niewoli wzięliśmy. Chorągwi kilka y murzów niemało też wzięto."

Jaśkowi z oczu potoczyły się łzy.

— A Waszmość czego płaczesz? — zapytał go zdziwiony kapelan królowej.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się na dworzanina królewicza; zawstydzony chłopiec otarł coprędzej oczy wylotem i zmusił się do uśmiechu.

— Tuszę, że gdy ja królem zostanę, Rzeczpospolita wojen prowadzić nie będzie —

odezwał się królewicz — miłsze życie w pokoju, niż w zapasach z nieprzyjacielem.

— Życzę wam, królewiczu, abyście z czasem czoło koroną przystroili i na tronie

używali spokoju, bo pokój to szczęście ludów — odezwał się kapelan — ale dzięki

niewiernym, na ciszę się nie zanosi, dopóki ich potęga złamana nie będzie.

Poczem zwrócił się do królowej.

— Miałem i ja list z obozu od bratanka — dodał — pisze, iż  
25 Septembris zjawili  
się Tatarzy nad

Siczą, że miłościwy król wyprowadził przeciw nim konnicę i  
szczęśliwie się z  
nimi ścierał, więc przyszedł w pomoc Tatarom Ibrahim  
Szejtan i naprzeciw  
królewskiego obozu się rozłożył. Chłopiec pisze, że nic  
piękniejszego od obozu  
tureckiego w życiu nie widział; pono miliony namiotów widać  
naprzeciw nich; gdy  
nocą rozpałą ognie i lampy, to przypomina się mu grób  
Chrystusa, zrobiony z lamp  
w wielki piątek u Bernardynów.

\* \* \*

Każdego dnia naglił teraz Jasiek królewicza, by zejść na  
pokoje królowej, w  
nadziei, że list przyszedł z obozu. Ciekawych wieści nie  
brakło. Osaczywszy  
Sobieskiego nad Siczą, Turcy bombardowali obóz dni kilka  
wielkimi działami o 48  
funtowych pociskach; lecz pociski te, niezręcznie kierowane,  
szkody naszym nie  
czyniły. Podkopywali się minami pod reduty obozu, lecz król  
przeszkadzał tym  
podstępny działaniom, śląc jedną wycieczkę za drugą.  
Zimno i deszcze, które

jesień sprowadziła, pomocą wielką były królowi, Turcy  
zniechęceni porażkami,  
bezskutecznością szturmów i słotami ustawicznymi, zaczęli  
traktować o  
zawieszenie broni, a gdy Sobieski się zgodził, zwinęli obóz i  
oddalili się.

Wysłany przodem goniec oznajmił królowej powrót męża.  
Śniegi spadły w tym roku  
wcześnie obfite, więc kazawszy zaprządź do białych sań,  
mających kształt  
łabędzia, Marysieńka w białej także szacie, pu-

chami łabędziami oszytej, z królowną również w bieli,  
otoczona synami, którzy na  
koniach jej towarzyszyli i dworzanami, wyruszyła naprzeciw  
małżonka.

Gdy Jan Sobieski ujrzał ten orszak miły jego sercu, bodnął  
konia i w rażnych  
podskokach pośpieszył naprzeciw sanek, poczem zdjął z  
galanterią z głowy kołpak  
i rzekł wesoło:

— Najpokorniejszy z dworzan waszych, miłościwa pani,  
oznajmia wam z radością, iż  
Rzeczpospolita zabezpieczoną jest od najazdów tureckich i  
tatarskich na lat  
siedm. Za waszą radą pokój zawarłem, nigdy korzystniejszy  
traktat, w  
trudniejszych dla nas okolicznościach nie stanął; bo taki zwyczaj  
bywać najlepszy  
pokój, gdy jeden z drugim wprzód się dobrze sprobuje.

Marysieńka uśmiechnęła się łaskawie i podawszy bohaterowi białą rączkę do ucałowania, odpowiedziała:  
— Oto nagroda Waszmości.  
— Niech żyje Jan III Sobieski, obrońca wiary Chrystusowej!  
— krzyknął lud,  
tłoczący się na gościńcu.  
— A to druga nagroda, stokroć piękniejsza — pomyślał Jasiek.

\* \* \*

Fakta Żurawińskie, które zawarł Sobieski, pokonawszy Turków w końcu 1676 r. ucieszyły cały kraj, bo pożądany pokój mu wróciły; zadowolniły też Francję, która nieprzyjaźnie usposobiona dla Austrii, wie-

dząc że Turcyja zamierza zwrócić oręż przeciw temu mocarstwu, pragnęła, by Sobieski zawarł pokój i przez Maryę Kazimierę na króla w tym duchu wpłynęła, lecz papież, którego pragnieniem było zgniecenie potęgi tureckiej, wciąż grożącej chrześcijaństwu, i który jednego Sobieskiego wśród wszystkich wodzów europejskich za zdolnego do dokazania tego uważał, gdy otrzymał list jego, uwiadamiający o zawarciu pokoju z Turkami, zgniótł pismo z gniewem i rzekł:  
— Ten traktat musi być zerwany.



Nie wiedziano wszakże jeszcze w kraju o tych słowach  
papieża i wojska zaraz po  
powrocie zostały rozpuszczone. Sobieski zajął się  
wewnętrznem] sprawami  
państwa, a królowa zabawami, w których Jakób i Jasiek w  
części brać udział  
musieli.

Wesołe życie Marysieńki zakłóciła pewnego dnia wiadomość  
otrzymana z Francji:

Margrabia d'Arquien jej ojciec, dla którego starała się u  
Ludwika XIV-go o tytuł  
księcia, tytułu tego nie otrzymał, a gdy królowa postanowiła  
udać się w tej  
sprawie do Paryża, król francuski polecił ją ostrzedz, aby była  
przygotowaną, że  
nie będzie mogła zająć pierwszego miejsca przy jego stole,  
gdy do Wersalu  
przyjedzie, gdyż jest żoną króla elekcyjnego a nie  
dziedzicznego.

— I jam nakłoniła ciebie, byś gwoli życzeniom Francji  
zawarł pokój z Turcją —  
rzekła oburzona Marysieńka, przeczytawszy list króla  
Ludwika... O gdyby było  
można zerwać traktat Żurawiński.

— Jeszcze go sejm nie zatwierdził — odparł Sobieski.  
spokojnie.

Lecz dni płynęły, a nic nie wróżyło, aby wojna z Turczyńcem  
tak rychło miała się  
wznowić.

Część II.

## I.

Sześć lat minęło od powyżej opisanych wypadków. Z Turczyńcem trwał wciąż rozejm, więc spokojniej było w kraju i na kresach, ale rok pański 1683-ci gotował wielkie najście Muzułmanów już nie wprost na Polskę, lecz na cesarstwo niemieckie. Odjęcie Węgrom różnych przywilejów przez cesarza, skłoniło ich do szukania pomocy u Turków, i sułtan, niby ujmując się za "Węgrów, wyprawił ogromne na ówczesne czasy, 200, 000 ludzi liczące wojsko, pod wodzą wielkiego wezyra Kara-Mustafy na podbicie Austrii i całej Europy. Cesarz niemiecki pomimo przyrzeczonych sobie od książąt rzeszy niemieckiej posiłków, zwątpiwszy o możliwości odporu, ubezpieczenia swego i ratunku szukał w przymierzu z Polską. Wysłany do Warszawy ks. Waldstein, poseł nadzwyczajny, zawarł z królem Janem traktat, podpisany dnia 31 marca 1683 r., mocą którego zwycięzca pod Chocimem i Podhajcami zob-

wiązał się w zamian za zrzeczenie się pretensyi do żup solnych w Bochni i Wieliczce, pośpieszyć na odsiecz Wiedniowi. W ciągu tych sześciu lat królewicz Jakób i jego ulubiony towarzysz, czyli jak mówiono wyrostek Jasiek Golański, zmienili się bardzo; pierwszy miał już lat 16

a drugi 19, Jaškowi już się wasy wysypały, zapisano go jako  
towarzysza do pułku  
królewicza Jakóba, którego pułkownikiem był Otto  
Segwegier. Wiele od niego  
skorzystał młodzieniec w sztuce rycerskiej. Takich jeźdźców  
niewielu było przy  
dworze, a zawdzięczał wydoskonalenie się w tej umiejętności  
przyjacielowi króla,  
wielkiemu koniuszemu p. Markowi Matczyńskiemu, który, że  
ojca, pana wojskiego,  
lubił i szanował, i synowi jego nie szczędził uwag ni pomocy.  
Właśnie w pewny poranek majowy roku 1683-go w jednym z  
pokojów pałacu  
Wilanowskiego, zwanego jeszcze wówczas "Villa Nuova" —  
siedział pan koniuszy  
koronny i pan wojski Golański, przybyły aż z Uhrymowa, aby  
syna zobaczyć.  
Zamieszkał w Warszawie w klasztorze ks. Kapucynów, ale  
często przyjeżdżał do  
Wilanowa, gdzie król Jan rad przebywał, urządzając sobie  
letnią podmiejską  
rezydencję.  
Gawędzili, popijając miodek.  
— Bądź spokojny! — mówił pan koniuszy — twój Janek nam  
się udał, a że nabrał  
ogłady dworskiej i po francusku gada, jednak animuszu nie  
stracił i jeszcze go  
królewiczowi dodaje, za co go i król jegomość lubi.

Ho! ho! bo to nasz pan miłościwy wie, czego młodzieży  
potrzeba, bo sam z nielada  
szkoły wyszedł! Snać rodzic jego Jakób Sobieski, wojewoda  
bełzki, a w końcu

najwyższy świecki dygnitarz w Rzeczypospolitej, to jest  
kasztelan krakowski,  
przeczuwał, jak wysoko syn jego zajdzie. A dwóch miał  
synów — pierwszego Marka,  
imiennika mego, którego zwano Marasiem i tego, Jana. Maraś,  
świeć Panie nad jego  
duszą, zginął na polu chwały przed trzydziestu laty i Jan jeden  
pozostał na  
pociechę matki, Teofili z zacnego domu Daniłowiczów, wnuki  
hetmana Żółkiewskiego  
i na chwałę kraju. Pierwszą szkołą wojewodzców był dom  
rodzicielski w Żółkwi, a  
napisy na grobach sławnych przodków zastąpiły pierwszą  
księgę. Kiedy pacholeta w  
młodzieńców rozwijać się poczęli, wypadło przydać wyższe  
wykształcenie umysłu.  
Natenczas miejsce domu rodzicielskiego i świątyni  
żółkiewskiej, zajęła akademia  
krakowska, wysoce poważana przez wojewodę. Po  
skończonych jedenastu latach  
pierworodnego Marka i dziesięciu Jana, wyprawił wojewoda  
synów do Krakowa,  
przydawszy im, jako ochmistrza pana Sebastyana  
Orchowskiego, dwóch nauczycieli,  
czterech wyrostków do towarzystwa, z których jeden  
Francuzik i po turecku umiał,  
tudzież kilku służebników.  
— Pokazywał mnie miłościwy pan, kiedy był jeszcze  
marszałkiem koronnym  
"Instrukcję, " którą rodzic jego wręczył wówczas  
ochmistrzowi Orchowskiemu.  
Wszystko w niej było przewidziane i opisane, jak  
wojewodzicowie postępować mają,

a był i taki przepis: "A jeżeliby częstego napomnienia i strofowania nie

słuchali, czego o nich nie rozumiem, niech mi da znać pan Orchowski, a ja będę wiedział, co o tem rzec — jest pręt do tego, pod którym młodzi rosną. "

— Nie skończyło się to wychowanie na akademii krakowskiej, bo w tym samym roku, kiedy królowa Marya Ludwika przyjeżdżała do nas, wojewodzicowie z nową instrukcją rodzica wyruszyli do Paryża, a kiedy wrócili, nie zastali go już przy życiu, ale według jego przykazań zabrali się zaraz do spraw publicznych i wojennych.

— I Fanfanika swego byłby tak wychował — kończył pan Matczyński — gdyby nie miłościwa pani, która po swojemu chce rządzić, a uparta jest. W tej chwili drzwi rozwarły się z hałasem i wbiegł ze śmiechem głośnym młodzieniec w kubraczku szarym, barankami oszytym, w spodniach szerokich, w czerwone buty wsuniętych, był to Jasiek.

— Cha! cha! sto pociech z tym królewiczem — rzekł, zatrzymawszy się w pośrodku komnaty.

I ujął się pod boki i śmiał się znowu głośno.

— A waści co się stało? — zapytał ze zmarszczką na czole pan Golański.

Jasiek się zmieszał, spostrzegł bowiem niezadowolenie ojca.

— Ot głupstwo palnąłem — pomyślał — toć nie powitałem rodzica, choć go dzisiaj spotkałem po raz pierwszy,  
I zbliżył się pokornie do Wojskiego, pochylając się do jego kolan.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — szepnął.

— Na wieki wieków — odparł Golański.

Jasiek się wyprostował, pewien już, że ojca rozbroił, ale spotkał surowy jego wzrok, więc oczy spuścił.

— I cóż się stało? — odezwał się Matczyński — opowiedz, czego się śmiejesz.

— Mnie nijaka przygoda nie spotkała — począł jąkać się Jasiek — śmiałem się ino z królewicza, sto pociech mamy z nim czasami.

— I cóż tam znowu? — zapytał szatny.

— A no, wchodzę dziś do jego pokojów, patrzę o dziwo! już ubrany, a była dopiero szósta. Ubierał się wykwintnie, jak na bal, ale miast się śmiać, siedział

nadaśany a wiecie czemu? oto wczoraj uplanował sobie, że pojedzie łodzią o siódmej rano z damami dworu po Wiśle. Kazał ustroić dwie łodzie kwiatami, sprowadził śpiewaka Włocha z lutnią i wioślarzy wszystko było ułożone, ale w sekrecie przed miłościwą panią. Tymczasem pani d'Estreux pierwsza gaderobiana królowej, że nie była zaproszona, zdradziła tajemnicę i królowa veto przeciw

wycierze położyła. Królewicz aż szlocha i powiada, że mu gorzej w domu, niż gdyby był w jasyrze, cha! cha!  
— Dość tego ! - zabrzmiał naraz donośny głos imć pana Golańskiego — waść, jako towarzysz królewicza, o cnotach jego opowiadać winieneś, a nie śmiać się z jego przywar czy figlów.  
Jasiek się zmieszał.

— Toć pan koniuszy koronny pytał? — odparł nieśmiało. Słowa te podnieciły gniew wojskiego, tupnął nogą.  
— Milcz młokosie! — krzyknął — może chcesz, jak owi pierwsi mieszkańcy rajy Adam i Ewa, swoja, winę na cudze barki zrzucić; wracaj mi natychmiast do królewicza i staraj się go pocieszyć, pociągnąć na łowy, lub na jaką inną męzką rozrywkę.  
Dworzanin królewski winien być przyjacielem swego pana, toć Jakób moja będzie nasz przyszły elekt, a ty przyszły dworzanin królewski: sposób się uczciwie do tak poważnej godności.  
Jasiek oddalił się na palcach, skruszony reprzymandą Golański chwilę milczał, targał węża, coś mruczał pod nosem, wreszcie odezwał się głośno:  
— Więc to tak z królewiczem?  
Matczyński westchnął i głową pokiwał.  
— Nie na rycerzy chowa miłościwa pani synów — odparł — w żaboty się stroją, w

pończochach jedwabnych i miękkich trzewikach chodzą, na puchach sypiają, zjadają przysmaczki. Inaczej chowała królewiczów Elżbieta, żona Kazimierza

Jagiellończyka; gagacik, zachciało się mu płynąć łódką z damami i rozbeczał się, jak dzieciuch, gdy mu nie pozwolono; nie dziwię się Jaśkowi, iż śmiał się z niego. Golański targnął węża. — Jasiek nie dzieciak, ma lat dziewiętnaście, to już mężczyzna. Widzieć powinien wady swego pana, ale

nie wolno mu odsłaniać publicznie i szydzić z nich, gdy je chleb jego; niech stara się go odmienić.

— Nie taka to łatwa sprawa z naszą królową — odparł Matczyński — oj, wiele złego od niej się u nas dzieje. Chciałaby syna na wersalskiego modnisią wychować.

— Dobrze powiedzieliście, że nam nie takiego potrzeba — powtórzył słowa przyjaciela Grolański — myśmy przedmurzem Europy od pogaństwa tureckiego i tatarskiego, myśmy tarczą ludów chrześcijańskich — dodał z siłą. — Niech Francuzi hodują sobie króli wycackanych i eleganckich, z białymi rękami, mówiących pięknie rozlicznymi językami, zatopionych w księgach, lub strojom i zabawom oddanym; oni przodują Europie w oświacie i modzie; ale my jesteśmy owym murem, broniącym ich od strzał i kopyt tatarskich, nasi królowie muszą być



jednocześnie rządcami i wodzami. muszą mieć  
przedewszystkiem twardą dłoń, która  
nie złąknie się ciężkiej szabli; mężne serce, które nie zabije  
trwogą, gdy krzyk

Ałłach! Ałłach! zabrzmia nad swojskimi niwami; naszym  
powinno być wszystko

jedno, czy na śniegu śpią, czy na kamieniu, czy na pościeli  
miękiej. Kto nie

spełnia swego zadania, tego Fan obala.

— Więc radźcież, co zrobić, aby królowa inaczej synów  
chowała; jęczącym głosem

przerwał mu Matczyński.

Golański wása pogładził, zamyślił się.

— A no, ja będąc tak blisko osoby królewskiej. jako wy  
jesteście, pogadałbym

poufnie z miłościwym panem w tej sprawie, najwięcej jego  
obchodzącej — od-

parł po chwili — toć nieraz bywacie z nim na cztery oczy.

Matczyński potarł z zakłopotaniem czuprynę.

— A no bywam — rzekł — ale majestat króla, to taka  
powaga, że człek, gdy wobec

niej stoi, często zapomina języka w gębie... Jakże w tak  
delikatnej sprawie się

odezwać.

— Jak? Jako przyjaciel, szczerze, otwarcie.

— Ha, spróbuję.

Gdy to mówił, wpadł znany nam pokojowiec Kazik, dziś  
raczej pan Kazimierz, choć

powagi wcale nie nabrał.

— Miłościwy pan was wzywa, mości koniuszy koronny —  
rzekł — śpieszcie na Boga,

bo woła na cały głos: Matczyńskiego mi dajcie;

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, cóż mu się stało! —  
krzyknął tenże i  
wypadł z pokoju.

— A skorzystajcie z okazji! — zawołał za nim wojski.

— Sprobuję — odparł, nie zatrzymując się. Pozostawszy sam  
imć pan Golańskj,

począł się przechadzać w zamyśleniu: to wąsa gładził, to  
czuba nad czołem

poprawiał, to mruczał do siebie:

— Źle, źle się dzieje, byle mój chłopak nie uległ zarazie;

pogadam ja z nim,

nastraszę; niech go kiedy spotkam przebranego za Francuza,

rozciągnę, jak mi Bóg

miły na kobiercu.

Powrót Matczyńskiego przerwał ten monolog.

— Jesteście już, Waszmość? — rzekł zdziwiony —

mówiliście o królewiczu?

Ten machnął ręką.

— Gdzie tam — odparł — nie było czasu, pono nuncyusz

papieski i poseł rakuski

dziś tu przyjeżdżają, a miłościwy pan w ogrodzie się bawił

sadzeniem drzew, jak

zwyczajnie tutaj się bawi; grzebie troski domowe w tej pracy.

Oj ta Marysieńka,

ładna, bo ładna, ale umie dokuczyć każdemu. Ręce miał

zawalane, buty zabłocone —

ciągnął dalej, a tu posłowie lada chwila przyjadą.

— Posłowie — powtórzył w zamyśleniu Grolański — nie

zgadujecie, w jakiej

sprawie?

— Domyśleć się nietrudno, nam mieszkającym w zamku —  
odparł Matczyński — pewny  
jestem, że papież wzywa miłościwego pana do wyprawy  
przeciw Turkom; wiadomo wam,  
iż Turcy z Węgrami ostrzą oręż na Austryę.

— Nasz król z Francją trzyma, może nie zechce bronić  
Austrii — rzekł Golański.

— Trzymał, ale już nie trzyma — odparł Matczyński — odkąd  
Marysieńka obraziła  
się na króla Ludwika.

Golański głową wstrząsnął.

— Sprawdza się na zamku warszawskim przysłowie, że szyja  
głową kręci — szepnął —

ha, tym razem to i lepiej, bo nie godzi się trzymać z tym, co z  
wrogiem

chrześcijaństwa się brata, — dodał głośno.

— Spodziewam się też, iż król stanie w obronie sąsiada  
przeciw niewiernym.

— Tak, ale co naszemu krajowi z tego przyjdzie — rzekł  
Matczyński, tyle krwi  
wylejem, tyle ofiar

poniesieni dla Niemców, a chytry. Rakuszanin nawet nam:  
Bóg zapłać! nie powie.

## II.

Gdy Jasiek wrócił do królewicza, zastał go jeszcze z dąsem na  
twarzy, lecz już  
bez łez w oczach.

— Szkoda zmarnować pogodnego ranka — odezwał się śmiało — nie można łodzią jechać z damami, pojedźcie królewiczu ze mną konno, cisawy rzy w stajni i rwie się do biegu, wróćcie z wesołą twarzą na obiad do pałacu. Podobała się ta myśl królewiczowi.

Podążyli do stajni, obaj dosiedli wierzchowców i ruszyli w pole co koń wyskoczy.

Po długim harcowaniu stanęli w lesie, w cieniu wyniosłych sosen.

Zeskoczyli z siodła, korne do gałęzi przywiązali i usiedli na świeżem mchu.

— Mówił mi dziś ojciec, że dworzanin jest przyjacielem króla — odezwał się młody

Golański — że jak wy, mości królewiczu, koronę włożycie, to ja dworzaninem ostanę?

Jakób rękę do niego wyciągnął.

— Masz na to królewskie moje słowo — odparł i dłoń mu uścisnął.

— Że dworzaninem króla Jakóba będę? — zapytał Jasiek.

— Tak — potwierdził Jakób.

— Więc gdy w jednym nie mylił się ojciec, to może i w drugim także — ciągnął

dalej Golański, mniej śmiałym teraz tonem — mówił mi ojciec, że dworzanin jest przyjacielem króla.

— Wszakże ty jesteś już moim przyjacielem — przerwał mu Jakób.

— Przyjaciół powinien mówić prawdę przyjacielowi, tak ojciec powiedział.

Jakób roześmiał się.

— Cóż mi chcesz powiedzieć? — zapytał.

— Ze nam królów i wodzów potrzeba, jak miłościwy pan, bo my przedmurzem chrześcijaństwa od Turków i Tatarów.

Wyszedłszy z pokoju koniuszego, mimowoli usłyszał on głośno prowadzoną rozmowę

Matczyńskiego z ojcem i powtarzał ich zdania dosłownie..

— Zkądże wnosisz, że ja takim nigdy nie będę? — zapytał go Jakób posepnie.

Jasiek nic nie odpowiedział i milczeli czas jakiś, królewicz odwrócił się od

towarzysza i rzucił się na miękki mech.

— Jeść mi się chce — rzekł.

— Mam kawałek wędzonki i kromkę chleba — odpowiedział Golański — ale czy to królewiczowi smakować będzie?

— Dawaj, co masz — zawołał Jakób — snąć nie znasz mnie jeszcze, i ja potrafię znosić niewygody, jak przyjdzie potrzeba.

Potem wyciągnął rękę do towarzysza i rzekł!

— Podaj mi dłoń!

A gdy Jasiek spełnił jego życzenie — dodał:

— Przysięgam wobec tego nieba nad nami, że gdy wojna się nadarzy, a ojciec

zezwoi, pojedę z nim i sprawiać się będę, jak synowi jego przystoi.

— Choćby najjaśniejsza pani płakała??

— Choćby płakała.

— I na koniu wyprawę odbędziecie?

— Na koniu, jak ojciec.

— Skwar i deszcz nie zapędzą was do karocy?

— Nie!

— A trudy obozowe nie zniechęcą was?

— Nie!

— A strzały nieprzyjaciela nie przestraszą?

— Nie!

Młody dworzanin uścisnął serdecznie dłoń królewicza.

— Teraz podzielcie się królewiczu ze mną wędzonką, bom i ja głodny - rzekł

wesoło.

Jakób, śmiejąc się, podał mu kawałek, poczęli jeść z apetytem, poczem dosiedli

koni, by wrócić do domu.

Właśnie wjechali w ulicę, wiodącą do bramy pałacowej, gdy wypadł naprzeciw nich

imć pan Golański.

— Gdzieżeś ty wodził królewicza, nicponiu! — krzyknął, grożąc synowi.

— Wedle waszej rady, namówiłem królewicza na konną wyprawę — odparł śmiało

Jasiek, osadziwszy przed ojcem swego karego.

Golański pogładził węża.

— No, no, dobrze, dobrze — mruknął — ale teraz śpieszyć się potrzeba jego

królewiczowskiej mości. Nuncyusz papieski kardynał

Pallavicini i poseł rakuski,

graf Wilczek przybyli do miłościwego pana w ważnej sprawie i są już w pałacu.

— Niech żyje Ojciec Święty, nakłoni pewnikiem najjaśniejszego pana do wyprawy przeciw Turkom! — krzyknął Jasiek.

— Cicho — rzekł Golański — miast hałasować, śpiesz za królewiczem, by przebrał się jak najprędzej i na pokoje podążył. Goście na obiad zaproszeni zostali, królowa pono spazmuje, że królowicza nie masz, król kazał go szukać na wszystkie strony.

— Za pół godziny zjawię się z Jaśkiem w sali biesiadnej, niech Duheume uspokoi królowę — rzekł Jakób.

To powiedziawszy, bodnął konia i do stajni pośpieszyli; oddawszy wierzchowce pacholkom, podążyli następnie przez ogród do pałacu, myśląc, że tam właśnie nikogo nie spotkają. Aliści w galeryi pałacowej dziwny a niespodziewany uderzył ich widok.

Pośrodku, otoczony kilku dygnitarzami stał król Jan III, wyższy nad wszystkich swą wyniosłą postacią. Stał, jak bożek Mars, wielki, wspaniały, z zadumą na czole, a jakaś luna męztwa i siły biła od niego. Przed nim klęczał poseł cesarza niemieckiego i nuncyusz pa-

piezki, przedstawiciele dwóch największych potęg ówczesnych: świeckiej i duchownej. Pierwszy wołał, załamując ręce: — Królu, ratuj Wiedeń! — a drugi dodawał: — i chrześcijaństwo!

Królewicz zbladł, młody Golański skamieniał. Pojęli, że tu się ważą losy Europy,

że ten jeden tylko, ten król wojownik na czele swych hufców  
zdolen ocalić  
chrześcijańskie narody od zagłady przed nawałą turecką, jak  
ongi przed półtora  
tysiąca laty Aecyusz wstrzymał groźny pochód Attylli. I pojęli  
zarazem, że on,  
król chrześcijański i rycerz prawy, uczynić to musi i uczyni,  
nie oglądając się  
na trudy i ofiary, ani na wdzięczność ludzką.

\* \* \*

W godzinę potem król w sali biesiadnej przedstawiał posłów  
pierworodnemu synowi  
swemu, królewiczowi Jakóbowi.

Królowa z wymówką patrzyła na syna, lecz on nadto był  
zajęty poselstwem aby mógł  
widzieć jej spojrzenia.

— Pono czeka nas wojna — odezwał się Jan III, kładąc dłoń  
na ramieniu Jakóba. —

Turcy podchodzą pod Wiedeń. Ojciec Święty i cesarz  
Leopold, wzywają mojej  
pomocy. Tuszę sobie, że stany oporu nie postawią, i wyruszę  
niebawem nad Dunaj.

Wówczas zabiorę cię z sobą.

— Il est trop jeune, il est trop delicat! — odezwała się  
Marysieńka głosem  
pełnym niepokoju.

— Młodszy był ode mnie Bolesław Krzywousty gdy szedł na  
Pomorzan — odrzekł  
Jakób.



Król poklepał go po ramieniu, a Jasiek, który miał stanąć przy uroczystym obiedzie za krzesłem królewicza, poszukał wzrokiem Kazika i spojrzał na niego z tryumfem.

— A co? — mówiły jego oczy.

Ale ten jak zawsze drwiąco się uśmiechnął.

— Nie mów hop! aż nie przeskoczysz, miał ochotę mu powiedzieć.

Tymczasem nuncyusz przystąpił do królewicza i krzyż nakreślił w powietrzu nad jego głową.

— Bóg przemówił przez usta wasze, królewiczu — rzekł następnie.

I graf Wilczek zbliżył się do Jakóba.

— Pan mój, cesarz Leopold wdzięczność w sercu żywić będzie — rzekł — przez usta moje śle obietnicę, że gdy król oswobodzi Wiedeń, rękę której z arcyksiężniczek chętnie jego królewiczowskiej mości ofiaruje.

Jakób podniósł dumnie czoło:

Właśnie wniesiono złote półmiski z daniami, więc zasiedli do stołu, przy którym

zawiązała się ożywiona rozmowa. Graf Wilczek opowiadał, iż Węgrzy, którzy

chcieli oswobodzić się z pod panowania Austrii, nie czując się dość silni,

zawarli sojusz z Turkami, że wódz ich Tekeli sam jeździł w tej sprawie do

sultana i burzę tę straszną wywołał.

— Olbrzymie zastępy Osmanów wkroczyły w granice naszego państwa — mówił — do

Wiednia się zbliżają. Jeśli zdobędą naszą stolicę, wówczas niezawo-

dnie sięgną dalej, całemu chrześcijaństwu grozi niebezpieczeństwo.

W końcu stołu, gdzie siedział wielki koniuszy, mówiono:

— Spójrzcie na naszego królewicza, oczy mu błyszcza, zapaleń, nie ustąpi królowej i pójdzie z nami.

— Ba, w tej komnacie wojna inaczej się przedstawia — odparł drugi — laury jeno widać, a zapachu' krwi i ran się nie czuje. Zobaczymy, czy śmiać się będą oczy królewicza, gdy słońce pocznie go prażyć, a kule świstać nad jego głową.

— Jestem jego pewien — rzekł Matczyński.

### III.

Dnia 14 lipca 1683 r. Turcy stanęli pod Wiedniem i spustoszywszy okolice miasta, obiegli je dokoła i 18-go podkopy utworzyli. Tegoż dnia król Jan z królową, i całym dworem wyruszył przez Częstochowę do Krakowa, dokąd zaczęły ścigać wojska,

W Krakowie, królowa znowu starała się, aby królewicz Jakób nie towarzyszył ojcu; lecz hetmanowie i panowie, zebrani przy królu, zanieśli do niego prośbę, żeby

wytrwał przy swoim postanowieniu i życzeniu syna, które wszystkich cieszyło.

Gdy dąsy i gniew nie skutkowały, Marya-Kazimiera uderzyła w płacz, lecz i to nie pomogło, król aż spotniał

perswadując, ale nie ustąpił, a gdy wrócił do siebie, rzekł do Matczyńskiego:

— W utarczce z pohańcami więcej się nie zmęczyłam, niż dzisiaj.

Królowa ustąpiła w końcu, ale powierzyła syna szczególnej opiece brata swego,

hrabiego de Maligny i porucznika Antoniego Duheume, także Francuza; wymogła

przytem na mężu, że za nim wlec się będzie karoca dla królewicza z wszelkimi

zapasami i przyborami pod pieczę kilku kamerdynerów.

Król skrzywił się na karocę.

— Na śmiech wystawisz syna — mówił — dokuczać mu będą towarzysze, obmówią go

przed światem, że na wojnę w karocy jedzie.

Lecz Marysieńka wołała:

— Inaczej nie puszczę go od siebie. Więc zgodził się, rzekł tylko:

— Powiem rycerstwu, iż przez troskliwość o mnie posłałaś za zbrojnym hufcem

karocę; mnie gawędy ludzkie już nie zaszkożą; wie świat cały, jakem z pohańcami

wojował.

Tego wieczora kazał przywołać do siebie Jaśka Golańskiego i tak do niego

powiedział:

— Gotuj się do wyprawy. Już teraz nie pacholęciem, lecz mężem prawie jesteś.

Nadeszła pora, której oczekiwałeś. Tuszę sobie, że rodzicowi i mnie wstydu nie zrobisz, a jako dworzaninowi królewicza, pod twoją pieczęć jego oddaję. Masz go nie odstępować ni w podróży ni w boju, a nie od kuli strzedz, bo to rzecz Boska, nie ludzka, lecz żeby się po rycersku sprawiał.

i jakowej konfuzyi sam na siebie nie ściągnął. Więcej ja tobie wierzę, niż tym

Francuzom, choć i ci odważni, ale po swojemu.

Jasiek objął króla za kolana.

— Budźcie spokojni, miłośnicy panie — szepnął wzruszony.

— Jużem sobie na

Jasnej Górze ślubował, że królewicza nie opuszczę, chyba, że zginę.

A królewicz Jakób z rzadkim, jak na niego zapałem, sposobił się do wyprawy.

Obiecał matce, że będzie do niej pisywał częste listy,

(odnaleziono ich trzy,

przyp. aut, ) i postanowił nadto spisywać codzien po łacinie dyaryusz, czyli

dziennik wyprawy; dyaryusz przechował się do naszych czasów.

Był to może najpiękniejszy okres z jego życia Dziejopis i naoczny świadek

wyprawy wiedeńskiej, Wespazyan Kochowski, tak pisał o nim wówczas w swoich

"Pieśniach Wiednia wybawionego. "

"Lecz i ty pięknej nie zaśpisz pogody,  
W ojcowskie tropy wstępując Jakóbie,  
Delfinie polski, królewiczu miody.  
Niech cię obaczy Wiedeń w ciasnej klubie,  
Jak chętny bieżysz do sławy w zawody.

Otrzyj łzy z oczu, przemożna królowo,  
Rozumem afekt macierzyński kojąc,  
Achilla twego mocny Bóg zachowa..  
Kiedy się w laury tryumfalne strojąc,  
Pokaże, że jest tak wspaniały czynem,  
Wielkiego króla nieodrodnym synem.

15 sierpnia po uroczystem nabożeństwie wyruszono z  
Krakowa. Przy królu był  
królewicz z Jaśkiem i dwaj hetmani koronni, Jabłonowski i  
Sieniawski ze swymi  
oddziałami. Jechali przez tarnowskie góry, Gliwice, Opawę,  
Ołomuniec, Kollabrun  
do Tulna nad samym Dunajem, gdzie miał być gotów most do  
przeprawy przez rzekę i  
oczekiwały wojska Rzeszy niemieckiej pod dowództwem  
księcia Karola  
Lotaryńskiego. Tam też podobno miał ich spotkać cesarz  
Leopold.  
Było co widzieć, patrząc na owo rycerstwo, to też gdy mijali  
miasta lub wioski  
na Szląsku i Morawach, ludność wszelkich stanów  
wysypywała się zewsząd, biegła  
na gościniec i żywy szpaler tworzyła, a gdy król wjeżdżał w  
ten szpaler,  
odzywały się wołania:

— Niech Bóg prowadzi!

— Niech żyje król wybawiciel!

Jan III podnosił wówczas czapkę i odpowiadał:

— Bóg zapłać!

Król nosił zwykle na wojnie pancerz stalowy na skórze rysiej,  
a na pancerzu

błyszcząły guzy dyamentowe, na tarczy rubiny i szmaragdy,  
przy kołpaku brylant

wielkości orzecha włoskiego. Koń jego czystej rasy polskiej,  
maści złotawej,

rosły i silny, bez trudu dźwigał potężnego wzrostu jeźdźca.

Obok króla, wśród

licznego i świetnego orszaku, odznaczał się mąż dzielnej  
postawy i miny

buńczucznej, ulubieniec króla, Atanazy Miączyński, starosta  
Łucki, ten miał na

sobie drucianą koszulę, pod koszulą, zbroję, na główne hełm  
ze złotą kulą; koń

jego maści jabłkowatej, futrem lamparciem był pokryty.

Królewicz Jakób w drodze

nosił

się po francusku, w płaskim kapeluszu z piórem na fryzowanej  
głowie, w butach

lejkowatych, lecz i dla niego jechał pancerz stalowy,  
turkusami zdobiony i nowy

zupełnie, bo go król ukuć kazał swemu płatnerzowi,

Ale wiatr i skwar dał się rychło we znaki jego bladej i  
delikatnej cerze, bo już

w drugim liście z 25-go sierpnia pisał król do małżonki:

"Fanfanika osypało

bardzo, tak jako po najcięższej febrze. "

\* \* \*

Pogodny i ciepły ranek przechodził zwolna w dzień gorący, upał poczynął dokuczać, już trzy mile dnia tego jechało wojsko bez odpoczynku, więc ten i ów oglądał się, czy gdzie źródła nie dopatrzy i kułakiem pot z czoła ocierał. Wtem do królewicza podjechał zdyszany Duheume.  
— Mon prince, veuillez monter dans la carosse vous tomberez malade par cette chaleur — rzekł".  
— Nie troszcz się zbytecznie o mnie — odparł posepnie królewicz — na wojnę idę i pojedę jak wszyscy inni.  
— Niech żyje królewicz! — krzyknęli bliżsi.  
Jan III tylko węża pokręcił i spojrział z miłością na syna, a Duheume, który spełniał polecenie królowej, nie śmiał nastawać.  
Dopiero, gdy słońce południe wskazało, król zatrzymał się na odpoczynek, a właśnie dotarli do gaju pełnego cieniu, w którym płynął wartki strumyk, więc posiadano z koni i zawołano na pacholców, by ściągnęli z wozów jedzenie i wino, poczem rozpinać poczęli

pancerze i zasiedli do posiłku. Wtem kamerdyner królewicza zbliżył się do niego

ze skrzyneczką, pełną różnych pudełeczek i flakonów.  
Jasiek porwał się z murawy z oczyma błyszczącymi i  
odciągając go na bok, rzekł  
cicho lecz dobitnie:

— Precz! to nie gotowalnia, nie pozwolę ośmieszać  
królewicza przed całym  
wojskiem tem bielidłem.

Francuz się nasrożył i chciał go wyminąć, lecz królewicz sam  
zawołał:

— Osyp mu gębę tą mąką francuską, l'eau de cologne wlej do  
gardła, to nie będzie  
mnie nudził.

— Podobała się ta rada Jaškowi i kilku innym młodzikom.

— Poudre! l'eau de cologne! — wzbiło się wesołym  
wołaniem pod obłoki, skoczyła  
młodzież do Francuza, jeden wydarł mu z rąk szkatułkę, drugi  
obalił na murawę,  
inni pudrem osypali mu twarz, a Jasiek z flaszką wody  
kolońskiej czekał na swoją  
kolej cierpliwie.

— Napoję ja go, oj napoję — mówił do towarzyszy, —  
szamoce się Francuz, lecz  
chłopcy go nie puszczają-

— Jašku! — wołają — dawaj tego kordyału, niech połknie.

Lecz król, który zdala przyglądał się tym żartom, zawołał:

— No. dość już tej swawoli! podziękować Bogu za posiłek,  
potem snem pokrzepić  
nieco siły.

I wnet, jakby anioł snu przeleciał nad obozem.



cisza gaj zaległa; Francuz, poprawiwszy pomięte ubranie,  
zamknął się w karocy,  
wzgardzonej przez królewicza, kłął pocichu na rycerstwo,  
które ułożywszy się na  
murawie "pod gołem niebem, głośno chrapało. Król syna  
zabrał do swego namiotu,  
gdzie kazał przygotować mu rycerskie posłanie, na futrze  
niedźwiedziem.

Tak krocząc szybkim marszem i z dobrym animuszem,  
zbliżali się coraz bardziej do  
Dunaju. W pewnej miejscowości za Brunem trakt rozchodził  
się w strony, jak

widły, aż pan strażnik Zbrożek, który prowadził hufce,  
zawahał się, niepewny, w  
jaką stronę się zwrócić. Naraz Jasiek zawołał:

— Patrzcie, jaki wielki ptak leci nad królem jegomościa.

Wszystkie spojrzenia podniosły się, w górę. W istocie, wielki  
ptak leciał nad

królom, a gdy hufiec się zatrzymał, on poszybował na prawo.  
Sobieskiemu oczy zabłyśły wzruszeniem.

— Pojedziemy za nim! To ptak dobrej wróżby — rzekł głośno  
i ruszył naprzód, a za  
nim popłynęły szeregi.

Ptak nie pokazał błędnej drogi i wkrótce stanęli we wsi  
Moderiz, wybranej  
zawczasu na popas.

Zdarzenie to zapisał królewicz w swoim dyaryuszu ("A  
Moderie, usque illuc aquila  
non deseruit caput Serenissimi, seraper circa euin volando"),  
wlało ono we

wszystkie serca silną wiarę, że wyprawa się powiedzie.

Pochód wojska do Dunaju, gdzie nie sięgały zagony tureckie,  
był wielce

ułatwiony, gdyż spotykali co

cztery mile wystawione przez Niemców szopy, pełne owoców,  
chleba, bydła,  
baranów, beczek piwa i stert siana. Umieli być Niemcy  
usłudźni i wdzięczni  
Sobieskiemu za pomoc im obiecaną., gdy jej potrzebowali,  
lecz zmieniło się to  
prędko, gdy Turków pogromił.

\* \* \*

Już dziesięć dni wojsko było w pochodzie, królewicz Jakób  
niemal każdego dnia  
pytał.

— Daleko jeszcze do Wiednia? A król odpowiadał:

— Cierpliwości, syneczku, my skrzydeł nie mamy; nie dziw,  
że ptak nas odleciał.

Pewnego dnia Jan III nakazał o godzinę skrócić marsz  
popołudniowy.

— Tuszę sobie — rzekł, zwracając się do syna, — iż rad  
będziesz, gdy nieco  
wcześniej niż zwykle spoczniemy? — zapytał.

— Lękam się, czy dotrwam tym razem, a wstyd było się  
przyznać — odparł cicho  
królewicz.

— Nadto długo byłeś pieszczony, abys mógł łącno oswoić się  
z trudami, wojennemi

— rzekł król — nie alarmuj się wszakże zbyt ta  
słabością swoją, zanim do

Wiednia dotrzemy, przywykniesz i da Bóg Niemcom dzielnie  
się przedstawiś. Taka  
to natura ludzka: zrazu zdaje się nam coś trudnem bardzo, nie  
do zniesienia,  
powoli przywykamy, a w końcu wydaje się nam, że nigdy  
inaczej nie bywało.  
Dolinka, przy jaworowym gaju wybrana dla rozbicia namiotu  
królewskiego, była  
iście czarująca Za-

ledwie się rozłożyli, gdy Jasiek zerwał się z mchu i ręka, na  
prawo wskazując,  
zawoła]:

— Jakowaś gromadka ku nam zdąża, rzekłbyś karzełki czy  
pigmeje.

Król małą perspektywę, którą nosił przy sobie, do oczu  
przyłożył.

— Dobry masz wzrok — odparł po chwili — gromadka dzieci  
dąży do naszego obozu,  
prowadzi ją pacholątko i dwa dziewczątka w bieli. A no,  
chodźmy naprzeciw.

To powiedziawszy, wysunął się z gaju, za nim królewicz i  
Jasiek.

W istocie, na dolinkę weszła gromadka dzieci troje przodem  
idących dostatnio

były ubrane, lecz za nimi kroczył cały tłum bosonózek.

Król lubił niezmiernie dziatwę, więc przystąpił z uśmiechem  
do tego ciekawego  
poselstwa,

— Do kogo idziecie? — zapytał.

— Do króla Jana III — odparł śmiało chłopczyk, z którego czarnych oczu spryt tryskał.

— Jamei jest, czego chcecie ode mnie?

— Mütterchen zaprasza króla Jana do swego domu, wyręczyła w odpowiedzi brata starsza z dziewczynek i ująwszy króla za rękę, poniosła ją do ust.

— Mamy dworek i ogródek, w ogródku kwiatków dużo i jabłuszek i śliw — paplała, jak srocza.

— I baranek — szczebiotała siostrzyczka.

— Tyś sama jak baranek w tej białej sukience, z tą główką pełną kędziorków — rzekł król z uśmiechem.

— Wiedźcież nas do waszej Mütterchen — dodał.

Z otwartymi ustami bosonoga gromadka przypatrywała się bohaterowi, a król, Jakób i Jasiek ruszyli z dziećmi ku dworowi, stojącemu opodal wśród lip.

Gdy weszli w ulicę wioski, ze wszystkich domów wysypały się matki i siostry bosonogiej dziatwy, z niemowlętami w ramionach, lub drobiazgiem otoczone i zgodny chór wzbił się pod niebiosy.

"Gott segne den brawen, und guten König Sobieski!. " (Niech Bóg błogosławi dzielnego i dobrego króla Sobieskiego).

Na polach, na których wieśniacy pracowali, te same podniosły się wołania;

przerywali pracę, by uczcić obrońcę i zbawcę, kroczącego  
brzegiem ich niw.

Nareszcie wyłonił się z pomiędzy lip bielony dworek, z  
ganeczkiem oplecionym  
kaprifolium, na którym stała niewiasta lat średnich, czysto,  
lecz skromnie  
ubrana.

— Mütterchen! Mütterchen! der könig kommt — zawołała  
starsza dziewczynka i  
wyrwawszy ręce z dłoni towarzyszy, pobiegła ku dworowi.  
Gospodyni podeszła naprzeciw króla i zgiąwszy kolano, czoło  
przed nim pochyliła.

— Dzięki wam, miłociwy panie, iż nie gardzicie moją  
strzechą ubogą — rzekła  
głosem wzruszonym. — Pragnęłam, by syn mój poznał  
wielkiego króla, który nie  
waha się nadstawić pierś na pociski wroga Niemców.

— Turek nietylko waszym wrogiem, lecz całego świata  
chrześcijańskiego, a więc i  
moim — odparł Sobieski. — Wstań pani i wiedź mnie pod  
swój dach.

W białym dworku król spożył tak smaczną wieczerzę, jakiej  
od dnia, gdy z Krakowa  
wyjechał, ani razu nie jadł; spoczął też na tak miękkiej  
pościeli, jakiej i w  
zamku warszawskim nie miał.

Gdy nazajutrz hufce wyruszyły o świcie w drogę, to Jasiek nie  
mógł się nachwalić  
porządku i czystości, których napatrzył się w domu  
"Mütterchen."

— Wartoby tę cnotę od Niemców przyswoić sobie — odezwał  
się Matczyński.

#### IV.

Nareszcie otrzymano wieści od wojska rakuskiego; naprzeciw hufca królewskiego ukazało się kilku jeźdźców.

Jan III wierzchowca zatrzymał!

— Jacyś szwabi, kurzem okryci — odezwał się po chwili.

— Bodajby nie byli posłannikami złej wieści — dodał Miączyński.

— Może Wiedeń wzięty? — rzekł Jakób. Król przeżegnał się.

— Niech Pan Wszechmogący słów twoich nie usłyszy — odparł.

Tymczasem jeźdźce osadzili przed królem pianą okryte konie.

Pierwszy, snąc

oficer wysokiej rangi,

a jak się okazało generał Caraffa, przystąpił i zdjawszy kapelusz, przyklęknął.

— Z wojska księcia Lotaryńskiego jadę i przywożę pismo Jego Cesarskiej Mości.

— Pogania nas ustawicznie cesarz Leopold swemi listami, a my czynim, co w mocy naszej, odparł Sobieski, sięgnąwszy po pismo.

Poczem sam pieczęcie rozłamał i czytać zaczął. Wyraz zadowolenia wystąpił na

jego twarz, zwrócił się do syna i podał mu pismo.

— Przeczytaj głośno! — rzekł.

Królewicz spełnił rozkaz ojca. Główny ustęp listu brzmiał jak następuje:

"Z powodu rozległych przestrzeni państwa Waszej Królewskiej Mości, pisał cesarz Leopold, i wielkich odległości, rozumiemy, że wojskom Jego niepodobna będzie przybyć w porę dla ocalenia miasta, któremu niechybna zguba zagraża. Nie oczekujemy już przeto wojsk Jego, lecz obecności Waszej Królewskiej Mości w przekonaniu, że jeśli osobą własną, Miłościwy Panie, zechcecie stanąć na czele naszych wojsk, choć mniej licznych, to samo imię Wasze, tak straszne dla wspólnych nieprzyjaciół naszych, uczyni pewną ich porażkę. " — Niech żyje Jan III! — krzyknęło rycerstwo, uniesione i dumne ze sławy swego króla i wodza. — A no — odezwał się Sobieski do hetmanów — wezmę kilka lekkich chorągwi ze sobą i przyśpieszonym marszem podążę ku stolicy, wy zaś, skupiając oddziały, trochę wolniej ściągajcie, a tym sposobem do-

czekacie się może i chorągwi litewskich. Zdziwią się Niemiaszkowie a jeszcze bardziej Turcy, gdy nie tylko króla samotrzeć, ale i całą naszą armię zobaczą.

— A my z kim pojedziemy? — szepnął Jasiek do królewicza. Jakób zawahał się w odpowiedzi. Wtem król zwrócił się do niego.

— Wać pono pod opieką hetmanów ostanie — rzekł — wolniejszy pochód mniej cię znuży.

— Sa Majesté a raison — odezwał się wujaszek Maligny,  
sądząc, iż przez to  
zaskarbi łaski siostry.

Królewicz poczerwieniał, wuj nieraz go drażnił i budził w nim  
ochotę robienia  
naprzekór.

— Pozwól mi, Miłościwy Panie, nierozłączać się z twoją  
osobą. Pocóż mi na  
wyprawę jechać dałeś, kiedy od słońca sławy odsuwasz. Może  
się znajdzie dla mnie  
i dla Golańskiego miejsce, choćby w lekkiej chorągwi.  
Król spojrział na niego z zadowoleniem.

— Uczyn jak chcesz — odparł. — Nie nalegam i nie bronię,  
przestrzegam jeno, że  
dla nikogo dłuższych odpoczynków urządzić nie będę, a kto  
mi nie dotrzyma, tego  
zostawię samego na drodze.

— Dotrzymamy! — wyrwało się mimowoli z ust Jaśkowi.

— No, no; pilnuj tam królewicza mój młody zuchu, a nie  
wrywaj się, gdy cię nie  
pytają. Ino wiem, żeś ty do boju z Turkami jeszcze skorszy.  
Zawstydzony i uradowany zarazem Grolański zarumienił się  
jak wiśnia.

Pomknął tedy Sobieski naprzód z dwu tysięcznym oddziałem  
husarzy i dragonii, a z  
nim królewicz Jakób ze swym maleńkim dworem, lecz o  
karocy mowy już nie było, bo  
została gdzieś daleko w tyle  
Po dniu gorącym nastąpiła noc piękna, gwiazdzista. Ale nocleg  
nie trwał długo i



już o piątej rano oddział królewski ruszył naprzód. Słońce weszło pogodnie i

wszyscy szli żwawo, gwarząc wesoło.

Tylko królewicz Jakób był milczący, Jasiek ukradkiem spoglądał na niego i począł się niepokoić.

— Wartoby westchnąć do Boga, by sił nam nie brakło, toć byłby wstyd, gdybyśmy musieli wrócić do tych, którzy zwolna idą — rzekł, pochyliwszy się do królewicza

— Francuziby tryumfowali.

Jakób westchnął.

— Oj, ciężka to rzecz ten pochód — rzekł, poczem podniósł wzrok ku niebu.

Naraż twarz jego rozjaśniła się, sen pierzchnął z powiek.

— Zjawisko niebieskie! — zawołał. Wszystkich oczy podniosły się w górę.

— Miesiąc czy tęcza osobliwa — krzyknęli rycerze.

— Lecz jaki dziwny jej kształt — dodał królewicz — świeci niby księżyc w

pierwszej kwadrze, a pod miesiącem kolorowa linijka.

— I jakby litery jakieś się kreślą — wołali niektórzy.

I tak zajęli się wszyscy tem widzeniem, że królewicz zapomniał o swem

niewyspaniu i zmęczeniu, roz-

jaśnił czoło i naradzał się ze swym kanclerzem, księdzem Zebrzydowskim, jak to

zjawisko opisać po łacinie w swym dyaryuszu. Wreszcie tak je sobie zakonotował:"

Per viam apparuit Iris similis lunae et umbram sicut IX jaciens post se."

Król oczekiwał niecierpliwie spotkania się z głównym  
wodzem wojsk niemieckich,  
księciem Karolem Lotaryńskim, i wiadomości, czy most na  
Dunaju pod Tulnem już  
gotów. Obiecali zbudować go Niemcy; bo też bez mostu nie  
można było myśleć o  
przeprawie na prawy brzeg Dunaju, na którym leżał Wiedeń i  
gdzie rozłożyli się  
niezliczone hufce tureckie. Rycerstwo sarkało głośno.  
— Wezwali nas, a pono sami pod pierzynę powłazili; cóżto?  
będziemy im pieczone  
kasztany z popiołu wyciągać, a oni zjadać je będą. Sam cesarz  
tu powinien  
przybyć, że go ratować na sokolich skrzydłach spieszymy.  
— Nie dla Niemców idziemy pod Wiedeń, ale dla chwały  
Chrystusa Fana i ocalenia  
Jego kościoła — odezwał się surowo król, gdy doszły do  
niego te gawędy.  
Zamilkli natychmiast wszyscy, a królewicz szepnął do Jaśka:  
— Ot, chwiało się już serce, gdy tamci narzekali, lecz  
miłościwy pan wlał w nie  
otuchę.

\* \* \*

Aliści 30 sierpnia, kiedy już byli niedaleko Hollabrunu i  
szykiem marszowym  
ruszać mieli naprzód, pan

Miączyński przyłożywszy rękę do czoła, począł wpatrywać się  
uważnie w dal.

— Cóż tam widzicie osobliwego? — zapytał go Jan III.

— Kilku jeźdźców kupą pędzi ku nam — odparł zagadnięty.

— Przypatrz się im dobrze, może to książę Karol.  
— Kiedy poznać trudno, toną w kurzu, jakiś chudy drab  
wysuwa się pierwszy —  
dodał następnie.  
— To nie książę — wołać poczęli inni — buty ma  
wykrzywione, czapkę zmiętą.  
— Jakiś nędzny szwabina — dodawali drudzy. Król spojrział.  
— Lotaryńczyk — odezwał się — milczeć z uwagami.  
A w tej samej chwili ów jeździec, który pierwszy wyłonił się z  
obłoków kurzawy,  
zatrzymał przed nim konia i podszedł, uchylając kapelusza,  
— Jesteście wreszcie książę? Cóż tam Wiedeń? — zapytał  
król, podając rękę  
księciu.  
— Wiedeń czeka was, Miłościwy Panie, jak zbawienia —  
odparł Karol Lotaryński.  
W tej chwili nadjechali towarzysze księcia, udzielny książę  
Waldek, hrabia Taaff  
i inni, i ukłonami pełnymi szacunku powitali króla.  
— Ich starszyzna gorzej ubrana od naszych pacholków —  
rzekł Golański ze  
zdziwieniem.  
— Nie jest grzechem, gdy kto grosza na stroje żałuje —  
uczynił uwagę Matczyński,  
który stał w po-

bliżu. — Suknia najkosztowniejsza zedrze się i łachman  
pójdzie na śmiecie; grosz  
nie wydany na zbytki w potrzebie ratuje nas, lub bliźnich.  
Za trzema wodzami, niebawem nadciągnął cały hufiec  
Niemców. W krótkich

kaftanach, w pantalionach obcisłych, w kapeluszach z pióropuszcami, z prostemi szablami u boku, tak jakoś odmiennie od rycerzy Sobieskiego wyglądali, że młodsi aż usta dłonią zasłaniali, by śmiechem nie wybuchnąć. Król zaprosił ich na śniadanie a księżę, który wciąż jeszcze oczom swym nie wierzył, że król polski już przybył, opowiadał o oplakanem położeniu Wiednia, o głodzie mieszkańców i wysiłkach komendanta Stahremberga, którego jedynie energii, zawdzięczają trzymanie się miasta. Ale były to wysiłki ostateczne.  
— Myśmy swoją obietnicę spełnili — rzekł król — przybyliśmy z armią. Teraz wy pokażcie, czy zrobiliście swoje.

\* \* \*

W dwa dni potem ujrzano wreszcie szeroką wstęgę Dunaju, a za nią strome i wysokie wzgórza Kahlenbergu; cel wyprawy się zbliżał. Rycerstwo powitało rzekę okrzykami radości.  
— Po drugiej stronie zajrzemy w oczy Turkom — mówili do siebie — odpłacim im za swoje trudy.  
Tymczasem król zwrócił się do syna:  
— Wąż kilku towarzyszy, rusz przodem i sprawdźcie, gdzie są owe mosty — rzekł.

Królewicz skinął na Jaśka, ten na kilku jeszcze, popędzili lotem strzały;  
niebawem powrócili jeszcze prędzej, aż ziemia buczała.  
Jakób osadził konia przed ojcem, ciemne jego oczy świeciły oburzeniem.

— Mostu niema nigdzie — rzekł.

— Co! — krzyknął król.

I zwrócił groźne spojrzenie na księcia Lotaryńskiego, który właśnie z obozu swego przyjechał.

— Królu najmiłościwszy — rzekł ten — alianci cesarscy, książęta rzeszy kłócą się i targują z cesarzem o warunki sojuszy ja pilnować musiałem, żeby Turków na tę

stronę Dunaju nie przepuścić, a oni mieli mosty budować.

Sobieski bardzo się rozgniewał i już chciał wracać do Polski.

Poczęli się

wówczas zjeżdżać książęta różni i elektorzy, prosząc i

blagając. Najskuteczniej

jednak przebłagały króla prośby świątobliwego ojca Awiano, który przywiózł listy

papieża i cesarza. Przypomniał królowi, że tu o służbę Bożą idzie i o ocalenie

chrześcijaństwa.

Dał się wreszcie król ułagodzić, lecz zmuszony został dni kilka zatrzymać się na

lewym brzegu w zamku Steteldorfskim. Tam objął

zwierzchnie dowództwo nad

wszystkimi wojskami i nakazał natychmiastowe zbudowanie kilku mostów. Sarkali

Niemcy pocichu, ale słuchali i podziwiali.

Jasiek codziennie pomimo deszczu jeździł nad rzekę przyglądać się robotom, a nieraz

i sam rękę przykładał

do niej; opowiadał potem królewiczowi, jak mostu przy bywa,  
i że już konno  
odważył się po deskach przejechać na drugą stronę.

V.

W zamku Steteldorfskiin, królewicz sypiał w komnacie  
przyległej do sypialni  
królewskiej, ale gdy Sobieski przeszedł na drugą, stronę  
Dunaju i oczekiwał  
przeprawy reszty wojsk, co trwało dni kilka, musiano się  
znowu rozlokować w  
namiotach w obozie.

Od Wiednia i olbrzymiego wojska tureckiego oddzielały hufce  
polskie tylko strome  
wzgórza Kahlenbergskie, poprzerzynane jarami i wąwozami i  
pokryte, jak pisał  
król do małżonki, "niecnotliwym" lasem, wielce trudnym do  
przebycia, zwłaszcza  
dla konnicy.

Wtedy to okazało się w całej pełni mistrzostwo króla w  
sztuce wojennej, iż tak  
pospieszał z marszem i przeprawą przez rzekę, bo Turcy, nie  
spodziewając się  
jego przybycia, nie mieli czasu stawiać przeszkód tam, gdzie  
im to było  
najłatwiej uczynić, lecz pozwolili królowi z całym wojskiem  
rozłożyć się na

szczycie góry nad ich własnym obozem.  
Tymczasem pod Tulnem król przyjmował nadjeżdżających  
nareszcie książąt i  
elektorów niemieckich i, jako naczelny wódz, opracował szyk  
bojowy przyszłej  
bitwy, tak zwany "ordre de bataille."

Według tego szyku Polacy mieli zająć najniebezpieczniejszą  
pozycję na prawem  
skrzydle, książę Lotaryński z wojskiem cesarskim pośrodku,  
a Elektorowie na  
lewem skrzydle. Wśród hufców niemieckich rozstawione być  
miały niektóre  
chorągwie hussarskie, jako najdzielniejsze do natarcia i  
szerzące zwykle popłoch  
wśród Turków.  
Nadeszła wreszcie pora wspinania się na Kahlenberg; naprzód  
wysłano piechotę a  
za nią ruszył król i starszyzna z kawaleryi, za nimi działa.  
Ciężka to była przeprawa, drobny lecz gęsty deszcz przeszedł  
w gwałtowną ulewę i  
bił z brzękiem po hełmach, pancerzach i tarczach i aż za  
kołnierze się dostawał.  
Krzywili się Niemcy nieboracy i wlekli coraz leniwiej, a tak  
śmiesznie wyglądali  
pokurczeni na siodłach, że rycerze Sobieskiego pokazywać ich  
sobie palcami  
poczęli.  
Jakóbowi me podobała się też ta kąpiel na koniu, lecz gdy na  
nich spojrział,

zląkł się, że może podobnie wyglądać i wyprostował się  
natychmiast, a twarz  
rozpogodzić usiłował.

Strome były ściany Kahlenbergu i w istocie trudne do wejścia;  
deszcz, spłukawszy

skłony wzgórz, uczynił je przytem śliskimi. W jednym  
miejscu starszyzna

niemiecka stanęła i szeptać poczęła:

— Unmöglich!

Ale Sobieski zawołał głośno:

— Dla chcącego wszystko łatwe, naprzód za mną!

pokażemy Niemcom, że w dobrej sprawie i potrzebie niema  
dla nas tego słowa.

I pierwszy wspinać się począł konno na Kahlenberg.

— Niech próbuje! — mruclili Niemcy — ino patrzeć, jak  
zsunie się na dół; dyabeł  
nie wlaźby dzisiaj na tę górę.

A Sobieski wspinał się coraz wyżej, za nim dążyło rycerstwo,  
za rycerstwem

działa i wozy ładowne.

Wejście jednakże było bardzo uciążliwe, bo działa i wozy  
grzęzły w błocie,

niejednokrotnie rycerze musieli zsiadać z koni i pchać je, lub  
brać działa na

ramiona i nieść w górę; ale nie zatrzymywali się, nie cofali się  
i nie osuwali.

Niemcy mruścić przestali, patrzyli zdziwieni, usta  
poroztwierawszy, nareszcie

wykrzyknęli zgodnie:

— To istny Archanioł ten Jan III.



I spieszyć poczęli tłumnie na górę, bo przykład to siła potężna.  
Tymczasem na szczycie Kahlenbergu, w klasztorze  
Kamedułów, w części przez Turków  
spalonym, rozlokował się król ze swym dworem.  
Było to 12 września wieczorem. Z tego miejsca widać już było  
na prawo światelka  
domów wiedeńskich i niezliczone ognie obozu tureckiego.  
Matczyński i Miączyński przygotowali sypialnię dla króla w  
jednej z  
obszerniejszych izb, przyległą przeznaczyli na jadalnię i  
kucharzom polnym  
kazali czynić przygotowania do wieczerzy. Król chciał, by  
uczta była wspaniała.

— Niech poznają Niemcy gościnność słowiańską; nawet przed  
bitwą — rzekł — jam  
pierwszy wdarł się tutaj, więc jam gospodarz, przyjmę  
spóźnionych.

Nie brakło specyałów w obozie Jana III, win różnych  
gatunków, owoców świeżych i  
suszonych, pierników i cukrów.

Gdy książę Lotaryński i Elektorzy wdarli się na szczyt  
Kahlenbergu, na stole  
biesiadnym piętrzyły się już misy z mięsem i serwisy z  
przysmakami. Z radością  
też zasiadła starszyzna do stołu królewskiego.

Gdy już pierwszy głód zaspokojono, Jan III podniósłszy puhar  
w górę, rzekł:

— Piję na cześć cesarza Leopolda; niech go Pan Bóg wspiera!

— Niech żyje cesarz! niech go Bóg wspiera! — zahuczało w  
sali.

Książę Lotaryński wychylił z wolna swój puhar, a gdy wrzawa ucichła i znowu napełniono kielichy, powstał i podniósłszy swój w górę, rzekł: — Cześć królowi, którego Bóg przysłał, by nas wspierał. I znowu zahuczało w sali, lecz teraz o wiele głośniej i serdeczniej. Następnie coraz nowe wznoszono toasty, aż ktoś wykrzyknął: — Zdrowie jego królewiczowskiej mości, który dotrzymuje nam tak dzielnie placu. Biesiadnicy poczęli się cisnąć z kielichami do Jakóba, król z pełnym czekał, aż syn do niego przystąpi, a gdy królewicz pochylił się do jego ręki, on dłoń na

jego głowie położył i łzą rozrzewnienia zaświeciły jego oczy. — Rad jestem z Waszmości, rad wielce, — powtórzył kilkakrotnie.

I był naprawdę szczęśliwy w tej chwili, bo nieraz gryzła mu serce troska o tego pierworodnego, że na gagacika wyrośnie. Toć od pieluch matka stroiła go w koronki, słodyczami karmiła i w złoconej klateczce trzymała, lecz krew ojcowska zepsuć się nie dała; gdy młode sokołę na swobodę się dostało, rozwinęło skrzydła i pokazało ludziom, że klatka, pieszczoty i słodycze w kanarka go nie przemieniły.

\* \* \*

Jaśko Golański nie był w klasztorze w czasie wieczery.  
Sąsiedztwo straszego  
nieprzyjaciela, oczekiwanie jutrzejszej bitwy, która miała  
rozstrzygnąć losy  
Europy a zarazem doczesne losy tylu tysięcy ludzi —  
rozpłomieniały jego  
wyobraźnię. Nie mógł wytrzymać w obozie i kręcił się wśród  
przednich straży,  
schodząc zaroślami w dół aż pod same niemal wały tureckie.  
Ciemno już było, gdy nagle w mroku przed sobą posłyszał  
jakby westchnienie.  
Dobry szabli i pocichu jął się posuwać naprzód. Niebawem  
ujrzał leżącego na  
ziemi i ciężko sapiącego Turka.  
— Czy ranny, czy szpieg może? — pomyślał. — Ale tak, czy  
owak wziąć go muszę.  
Dostarczy nam języka.  
I rzucił się na leżącego. Ten nie stawiał oporu, wydawał się  
bezsilny.

Jaśko zdziwiony wziął go na barki i do straży przywłókł.  
— Turka złapałem — rzekł do rotmistrza Ruszczyca, który  
dowodził pierwszym  
podjazdem — pierwszego Turka! trzeba z nim do króla!  
Ku wielkiemu ich zdumieniu, jeniec powtórzył słabym głosem  
po polsku: Do króla!  
Do króla!  
Niebawem ruch się zrobił w izbie królewskiej, Ruszczyca  
wszedł z doniesieniem.  
— Miłościwy panie — rzekł, — Golański, dworzanin  
królewicza, ujął w stóp góry

jakiegoś podejrzanego człeka, wygląda na Turka, ale po naszymu mówi; pewnie

szpieg, tylko zda się wycieńczony!

— Dajcie mu gorzałki, niech przyjdzie do siebie i przywiedźcie go tutaj! — rzekł król.

Rycerz się oddalił, niebawem powrócił, wiodąc za sobą widmo nie człeka.

Na litość zasługiwał w istocie przyprowadzony; skóra na twarzy przywarła do

kości, zapadłe oczy świeciły, jak węgle rozżarzone, umieszczone dla postrachu w

oczodołach czaszki. Gdy ujrzał króla, który stał przewyższając wzrostem i

majestatem otaczających, upadł na ziemię ze łkaniem.

— Skąd przychodzisz? — zapytał go król.

— Z Wiednia — odparł on tak dziwnym głosem, że dreszcz przebiegł po wszystkich.

"W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. " Biesiadnicy pewni byli, iż duch przemówił.

— Kto ty jesteś?

— Ja jestem Jan Michałowicz, ze wsi Leśnej.

— A skądże się tu wzięłeś, w tureckim obozie?

— Ja proszę łaski Najjaśniejszego Pana jestem kucharzem pana Kulczyckiego z

Wiednia, służyłem u -niego w Carogrodzie, a teraz w Wiedniu.

— Czemuś miasto opuścił? badał dalej. Michałowicz westchnął.

— Po ratunek od komendanta Starhemberga.

— Miastu głodowa śmierć grozi począł zwolna opowiadać  
wysłaniec — komendant  
kazał obwołać po ulicy, że kto się poważy przedrzeć przez  
wroga do Miłościwego  
pana i powtórzyć jego słowa tego hojnie nagrodzi. A żem już  
raz z panem  
Kulczyckim wychodził z miasta i po turecku gadam, więcem  
się puścił.

— Jakież to słowa.

— "Panie najłaskawszy niema chwili do stracenia!"

— Czy słyszycie, panowie, rzekł król do Niemców — niema  
chwili do stracenia! A  
cóżby się stało, gdybyśmy jeszcze byli z tamtej strony Dunaju.  
A ty mój zuchu,  
dostaniesz nagrodę i ode mnie.

— Nie dla nagrody ino podjąłem się tego poselstwa — mówił  
dalej Michałowicz, ale  
chciałem ratować nieszczęsnych mieszkańców. Tyle ich było  
szczęśliwych, mieli  
domy własne i rodzinę; dziś są nędzarze i sieroty.  
Tu umilkł; z zapadłych jego oczu wysączyła się łza i pociekła  
po twarzy.

— Ludziska mrą z głodu i różnych chorób, jak mrowie, dzieci  
chodzą jak cienie, a  
pan komendant jeden

tylko dodaje ducha. Jak on jest, to milczą, a bez niego chcą się  
poddawać. Nie  
mogłem już patrzeć na tę biedę i śmierć powolną, pójde,  
myślę sobie, za Dunaj, a

może prawdę mówią, co nasz król nadchodzi. Nocą spuściła  
mnie straż nasza z  
murów, dostałem się pomiędzy namioty tureckie, gdzie pół  
dnia o głodzie  
przeleżałem. Potem ruszyłem w te góry i myślałem, że już  
skończę, ale Bóg  
Najwyższy się zmiłował, już i ja i Wiedeń nie zginie, bo jest  
nasz król  
Sobieski.

— Oby Bóg dał nam zwycięstwo, rzekł król, ale teraz pora na  
krótki spoczynek.

Zajmij się tym zuchem mój Marasiu, rzekł do Matczyńskiego  
— daj mu kąć jaki i  
sto dukatów.

Jakób na dobranoc pochylił się do kolan ojcu, który nakreślił  
krzyż nad jego  
głową i poszedł do swojej komnaty.

— Nie bije wam serce królewiczu na myśl, że jutro Turek  
zajrzy wam w oczy,  
szablą błyszczącą wzrok podrażni? — zapytał Jasiek, gdy  
znaleźli się sami w  
jednej z mnogich cel starego klasztoru.

Jakób stał właśnie w oknie, z którego widać było w dali  
rysujące się na czarnem  
tle widnokregu wieżyce Wiednia. W tej samej chwili  
czerwona raca wzbila się pod  
gwiazdami zahaftowane sklepienie.

— Wzywają pomocy, nieszczęsne miasto! — odrzekł — jakże  
drobną kruszyną człek  
się sam sobie wydaje wobec tych setek, ginących w mękach  
okropnych, tam za temi  
murami; jak mi zmalowały wszystkie moje troski, kłopoty,  
niewygody, cierpienia

wobec ich cierpień!

Jaśko przystąpił do niego bliżej:

— Zmieniła was, mości królewiczu, ta wyprawa do niepoznania — odparł głosem wzruszonym — dotąd jam was kochał, dziś Kocham i szanuję; to mówiąc zgiął przed nim kolano.

— Co czynisz! — wykrzyknął Jakób i podał mu rękę. —

Wstań, my przyjaciele, za twoim wpływem z dziecka mężem się stałem.

Jasiek powstał i udał się na spoczynek. A na równinie pod nimi huczało i

świeciło ogniami ogromne obozowisko pohańców, pewne zwycięstwa i łupu, tak

pewne, iż nikomu tam na myśl nie przyszło, że już tuż nad nimi z dobytym

mieczem, jak anioł kary, stoi największy rycerz chrześcijaństwa.

## VI.

Wielki wezyr Kara Mustafa odpoczywał w swoim namiocie, wysłanym najdroższymi

makatami wschodu, pewien był, iż wyczerpany głodem i oblężeniem Wiedeń nazajutrz

otworzy przed nim swoje bramy; kazał nawet szturm przerwać:

— Na co tracić amunicję, na co się trudzić, gdy i tak to gniazdo niewiernych już

nasze, — mówił do baszów.

Dochodziły go wprawdzie wieści, że cesarz Leopold wezwał pomocy Sobieskiego,

lecz uśmiechnąwszy się pogardliwie, powiedział:

— Bohater z pod Chocimia nie będzie się tutaj trudził, co go cesarz Leopold obchodzi?

Wysłał jednakże na zwiady wiernego mu Wołoszyna, który w Polsce bywał i znał z

widzenia Sobieskiego, lecz nie wątpił, iż powróciwszy,

Wołoszyn powie mu:

— To wszystko kłamstwo, Sobieskiego tam niema!

Spokojny, że głodem weźmie Wiedeń, czas oblężenia skracał sobie rozmaicie... I

teraz oto leży wygodnie na wozzystych miękkich

poduszkach, puszcza gęste kłęby

dymu z długiego cybucha, słucha muzyki i przypatruje się

tancerkom, zjadając

słodyczne, piętzące się przed nim na niskim stoliku. Otrzymał raporta od

wszystkich baszów, wie, że z miasta szczer się nawet nie

wymknie, spokojnie więc

biegnie myślą poza Wiedeń i snuje plany podbicia Niemiec i

Włoch; któż mu

przeszkodzi? Nikt. O, tak, Ałlach jest wielki i Mahomet jego prorok!

Po pewnym czasie muzyka, przysmaki i taniec sprzykrzyły się w końcu wielkiemu

wodzowi, ziewnął, ręką skinął i przymknął powieki.



Zrozumieli wszyscy życzenie Kara Mustafy: umilkli  
janczarowie, cofnęły się razem  
w głąb olbrzymiego namiotu tancerki, rozeszli się agowie,  
basze, najbliższa  
tylko służba została. Kara Mustafa wypuścił cybuch z ust,  
głośnie chrapanie  
rozległo się w namiocie, miesza-

jąc się ze słabymi głosami bębnów, oraz piszczałek, które z  
kilku stron  
dochodziły.

Noc czarna otoczyła ziemię, na Kahlenbergu panuje cisza i  
rycerstwo spoczywa,  
tylko czaty czuwają.

Wiedeń racę za racą posyła ku niebu, snać Boga wzywa o  
zmiłowanie, a tego, który  
na górze rozłożył się obozem, o pomoc.

Kara Mustafa tych rac nie widzi; jednym szturmem mógłby  
wziąć miasto, lecz on  
woli, by konało powoli; bawi się niem, jak kot myszą... woli,  
by się same ze

wstydem poddało na łaskę i niełaskę. Śpi teraz spokojnie, nie  
wątpi, że za dni

parę gród sam bramę otworzy, i wyjdą naprzeciw niego z  
pochylonemi głowami  
głodni, pokorni giaury niemieckie.

Lecz czyjeż to kroki szybkie, zdradzające niepokój, rozległy  
się naraz poza  
namiotem?... Strażnicy i słudzy nadstawili słuchu.

Ktoś bieży, chce wejść do namiotu, widzieć się z wielkim  
wezyrem! strażę wahają

się, czy obudzić wezyra, to grozi stryczkiem. Ale zuchwalec  
ma buńczuk i  
pierścień, ma prawo wejścia do pana:  
Wtem Kara Mustafa ocknął się, podniósł głowę i wyłupiaste,  
zaspane oczy,  
zwróciwszy ku oponie, kryjącej wnijsie do jego namiotu,  
odezwał się głosem  
przewlekłym:  
— Co to za hałas?  
A potem nagle twarz mu się rozjaśniła.  
— Wiedeń się poddał! — wykrzyknął — odchylić oponę,  
niech wejdzie ten poseł  
dobrej wieści.  
I stanął przed nim poseł kurzem okryty.

Kara Mustafa zmarszczył brwi gniewnie.  
— To ty, rzekł groźnie — jaką wieść przynosisz? Poznał  
Wołoszyna.  
On miał twarz białą jak kreda, oczy rozszerzone przez strach,  
drżał, jak gdyby  
zbrodnię popełnił.  
— Mów — odezwał się znowu Kara Mustafa, a głos jego do  
ryku był podobny.  
Wołoszyn padł na kolana, złożył ręce na piersiach i głosem  
jęczącym począł  
szeptać.  
— Wielki wodzu, najpotężniejszy z wodzów na ziemi,  
pogromco kroci, zwycięzco  
niepokonany, wróg twego pana zacięty rozłożył swój obóz na  
górze pod miastem

niewiernych, by napaść na ciebie z boku a wrogiem tym jest król polski Sobieski.

— Milcz, psie przeklęty! krzyknął Kara Mustafa. Zerwał się z poduszek, dobył z

za pasa kindżał j utopił go w piersi Wołoszyna.

— Nie będziesz rai teraz straszyl ludzi złą wieścią, zamruczał. Lecz zdawał się sam przerażony, z nieufnością spoglądał na krwią, broczące

zwłoki. Po chwili podniósł oba ramiona w górę:

— O królu! jaką krzywdę czynisz memu panu — rzekł głosem jęczącym.

— Basza Diarbekiru i aga Mohamed niech staną przede mną, rzucił rozkaz.

Słudzy wybiegli z namiotu, niebawem zjawili się wezwani.

— Na górze od północy stoi Sobieski z wojskiem

polkiem. Nie mówiąc ludziom na kogo idą, obejść górę i napaść go z tyłu!

Basza i aga pobledli, nie rzekli wszakże słowa z niskimi ukłonami, rakiem

wyszli z namiotu.

Kara Mustafa gestem wskazał sługom Wołoszyna, by go wynieśli, poczem rzucił się

sapiąc na miękkie poduszki i w myślach utonął.

Powoli dzień się zaczynał, przy zorzy porannej sztuczne światła, tlejące w

wysokich trójnogach w namiocie Kary Mustafy pobladyły.

Niebawem nad horyzontem

wynurzyła się wielka tarcza słońca.

— Ałlah! Ałlah! — rozległo się naraz krzykiem trwogi w obozie tureckim.

Krzyk ten zagłuszył głosy bębnów i piszczałek, dochodzące z namiotów  
uczujących baszów, umilkła muzyka, przzerwano tańce,  
zawszad wybiegali agowie i  
Jańczarowie, muzykanci i tancerki.  
— Aah! Aah! Bismiłlah — brzmiało coraz głośniejsze.  
Drgnął Kara Mustafa na swych poduszkach, siadł, brwi  
nastrzępił.  
— Co to? — zapytał.  
Słudzy padli na kolana, pochyłili głowy.  
— Ty wiesz sam, najpotężniejszy z wodzów — powiedzieli.  
On spojrział na nich z pogardą, minął obojętnie i wyszedł  
przed namiot.  
— Co to jest? — powtórzył. Zapóźne pytanie.

Tam, od północy, z pokrytej zaroślami góry, stacza się jak  
lawina jakieś wojsko,  
błyszczące w słońcu, a przodem pędzi, niby smok stalowy,  
wspaniała, wielki,  
straszny, Ludzie to czy duchy jakieś? Konie olbrzymie,  
jeźdźcy wyniośli, w  
pancerze zakuci, a nad każdym chwieją się i połyskują  
ogromne skrzydła. Czy to  
hufiec archanioła Michała wysłany na zgromienie szatana?  
Słysząc już tentent  
kopyt, chrzęst broni, błyskają szable, pędzą, a wszystko przed  
nimi rozstępuje  
się, ucieka w popłochu, ginie. Pędzą wprost na namiot  
wielkiego wezyra, w samo  
serce obozu. To hussaryja polska, to pierwsze chorągwie  
Sobieskiego.

— Ałlah! Ałlah! — jęknął Kara Mustafa.  
Lecz wnet odzyskuje przytomność i jak stary lew skupia  
starszyznę koło siebie,  
wydaje rozkazy i woła:  
— Polaków jest garstka tylko, niech tu wpadną, otoczymy ich  
i połkniemy.

## VIII.

Skończywszy radę wojenną i przekonawszy się, że wszystkie  
oddziały roztawiono  
według jego "ordre de bataille, " Sobieski odpoczął kilka  
godzin.  
Zaledwie jednak zaczęło szarzyć, już wszyscy byli na nogach;  
wysłuchano krótkiej  
Mszy św. i hufce schodzić zaczęły z góry, a przedewszystkiem  
prawe skrzydło  
polskie, najbliższe nieprzyjaciela.

Sobieski znając dobrze Turków, wiedział, że ich siły  
przewyższają znacznie siły  
chrześcijan, rozumiał, że jeżeli odrazu nie rzuci popłochu  
gwałtownym natarciem  
i nie sprawi ogólnego zamieszania, to później będzie mu  
daleko trudniej dać  
sobie radę z bitnym i daleko liczniejszym nieprzyjacielem.  
Wysłał więc chorągiew hussarską z rozkazem, aby dotarła do  
środku obozu, do  
namiotu samego wielkiego wezyra.  
Do tej chorągwi przyłączyło się wielu ochotników, a między  
nimi Golański. Była

chwila, że i królewicz, porwany przykładem Jaśka, także się napierał, lecz Jan

III powiedział synowi:

— Pierwsze kroki postawisz przy moim boku i pomnij, że na taką imprezę głównym wodzom porywać się nie godzi, bo łącno zginąć mogą, zanim los bitwy się ustali.

Hussarya zwolna spuściła się z góry, potem cwałem wbiła się jak klin żelazny w

obóz turecki. Turcy zamiast opór stawić, pierzchali przed małym oddziałem,

dopiero głosy wodzów dodały im odwagi. Spostrzegłszy pomyłkę, zapragnęli wstyd

swój odpłacić śmiercią zuchwałej garstki i otoczyli ją zewsząd..

Ale za tą chorągwią postępowało całe prawe skrzydło armii Sobieskiego, a za niem

on sam, starczamy za drugie wojsko.

— Dziarsko się sprawiają — mówi król — już są pośrodku obozu, już do namiotu

wezyra docierają... Lecz cóż to? osaczyli ich, chcą wszystkich zuchów wyrąbać,

na. to nie pozwolę. Już pora do natarcia.

W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego — za mną bracia! I dal znak buławą. — Konnica

ruszyła naprzód, za nią piechota i artylerya.

Królewicza oczy pociemniały, pogonił za ojcem, zapomniał, że leci na pociski

wroga.

Lecz garstka, którą król wysłał na pierwszy ogień, zginęła im z oczu. Turcy ścisnęli ją. zewsząd; bronią się dzielnie rycerze, lecz coraz im ciaśniej w tym kole; już ten i ów zleciał z konia i w krwi własnej się kąpie, już tylko patrzeć, jak wyrąbią ich wszystkich. Wtem o niebiosy obiło się powtórnie pełne trwogi wołanie: — Ałlah! Ałlah! Sobieski idzie! Już po całym wojsku tureckim wiedziano, że sani król polski, że bohater z pod Chocima i Podhajec, przybył ze swymi hufcami i prowadzi je, do boju; ten sam, na którego wspomnienie bledną twarze i serca strachem biją. Jak piorun, jak huragan spadł z Kahlenberga Jan III na Turków, którzy nie mieli już czasu ani ducha ażeby urządzić obronę, więc krzykiem rozpaczli uderzyli o niebiosy, jedni szable rzucają na ziemię, inni zeskakują z koni, padają na kolana i litości błagają, tym życie najmiłsze.. Drudzy lękają się zemsty chrześcijan, cierpień, jakie niewola przynieść im może, więc pędzą do swoich namiotów, mordują własne dzieci i żony, potem sobie życie odbierają. Krew płynie, zgiełk się szerzy, krzyki trwogi się wzmagają.

Kara Mustafa spostrzega wreszcie, że jemu samemu grozi niebezpieczeństwo życia,

więc w szybkiej ucieczce szuka ratunku. Nim dzień się skończył, resztki ogromnej armii tureckiej uciekały do Presburga, Granu i Budy. Potęga turecka była złamana, Wiedeń oswobodzony, cała Europa odetchnęła. Sobieski, dokonawszy zwycięstwa, skinąwszy na syna i bliżej stojących panów, wkroczył w tryumfie do namiotu Kara Mustafy. Straszny widok przedstawił się jego oczom, gdy rozchyłono opony, kryjące wniście do owych namiotów, bo cały dwór wezyra, o którego zabranii w szybkiej ucieczce nie było mowy, leżał wymordowany przez janczarów z rozkazu władcy, aby się nie dostał w ręce niewiernych.

Nazajutrz Sobieski wjechał tryumfalnie do Wiednia. Stary gród rozwarł już swoje bramy na rozcierz, starcy i młodzież, niewiasty i dzieci wybiegli tłumnie witać swego zbawcę; dziewczęta i dzieci ścielą mu drogę kwiatami, matki podnoszą niemowlęta w górę i mówią:

"Patrzcie, to bohater, co nas zbawił, jakże mu pięknie z temi wąsami!"

Starcy zrzucają płaszcze z ramion i ścielą nimi ^ drogę bohaterowi; młodzież chwyta konia króla za ruzdę i wiedzie go w tryumfie do katedry.

Drzwi kościoła rozwarte, organy huczą radośnie, drżą ściany świątyni od tysiąca głosów, Niemcy śpiewają: "Te Deum. " U podwoi katedry biskup otoczony całym



klerem, czeka na króla, tylko cesarza Leopolda nigdzie nie widać.

Dworzanin królewicza Jakóba.

— Czy chory? — pytają Niemcy — czemu jeszcze nie nadjechał? I wzrokiem pana swojego szukają.

Lecz gdy Sobieski zajechał przed katedrę, zapomnieli o Leopoldzie.

Jan III, zeskoczywszy z konia, z synem po prawicy, z kołpakiem w rękę, z czołem kornie schylonem przed majestatem Najwyższego, wkroczył do świątyni i mijając tron dla niego przygotowany, ukląkł przed wielkim ołtarzem, aby podziękować za zwycięstwo Bogu, Matce Bożej, której ślubował na Jasnej Górze.

Rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, a kaznodzieja rozpoczął kazanie swoje od słów Ewangelisty: — "Był człowiek zesłany od Boga, a imię jego było Jan. "

Tak Wiedeń, i naród niemiecki dziękował wówczas swemu zbawcy.

Po nabożeństwie król powrócił na pole bitwy, by zająć się dalszym losem kampanii, a przedewszystkiem rannymi. Królewicz go wyprzedził; wśród otaczającego go rycerstwa, Jakób nie mógł Jaśka dopatrzeć; uczucia radości i dumy, jakie zwycięstwo ojca zbudziło w jego sercu, zmieszało się z niepokojem o

życie przyjaciela.

— Pewnie ranny, byle nie ciężko — mówił do bliżej stojących.

Wtem spostrzegł zdążającego ku nim, z lewą ręką obwiązaną Jaśka, więc rzucił się ku niemu i aż ucałował z radości.

— Czyś ciężko ranny? — mówił głosem wzruszonym.

— Drobnostka — odparł wesoło Jasiek. — Już mnie ksiądz Zebrzydowski opatrzył; lewa ręka, nie potrzebna, bo prawą, miecz udźwignę. Trzeba szukać ciężko

rannych, a jest ich wielu. Jam tylko rad ze ze swojej rany, bo przelałem krew w obronie Chrystusa Fana i Jego świętej wiary.

Jakoż mijali wielu ranionych, którzy uśmiechali się do królewicza i słabemi głosami wołali:

"Pobiliśmy Turków!"

A potem z bólu sykali. Lecz królewicz widząc, że im nie brak opieki, przeszedł

do tych, którzy już ani uśmiechnąć się, ani syknąć", ani zawołać: — "Pobiliśmy

Turka!" nie mogli.

Na młodzieńcach twarze poległych wywarły silne wrażenie.

— Jakże okropne są następstwa bitwy — rzekł królewicz — oby więcej wojen nie było.

— Ufajmy w przyszłość, że Chrystusowa miłość pokój ludów nam przyniesie —

odezwał się jeden z kapelanów obozowych, który zjawił się przy królewiczu.

To powiedziawszy, począł odmawiać pacierze za umarłych; Jakób i Jasiek uklękli

obok niego.

Niebawem nadciągnął król, zmówił też Ojcze nasz na intencje poległych, a gdy

powstali, rzekł do syna:

— Dopilnuj, aby wszystkich rannych zebrali z pola i zanieśli do Wiednia; lepiej

im będzie w szpitalach, niż w obozie pod gołym niebem.

Umarłych pogrzebać na

cmentarzach wiedeńskich, toć je obronili od niewiernych

krwią własną, niech

spoczną na poświęconej ziemi, w miejscu, gdzie mogiły ich nie zaginą.

Wróciwszy do obozu, król zamknął się w swoim namiocie, aby napisać o zwycięstwie do ukochanej małżonki.

Wtem wbiegł do namiotu królewicz Jakób, oczy jego błyszczały szlachetnem

oburzeniem, twarz rumieniec gniewu oblewał.

— Co tobie? — spytał go król zdziwiony.

— Rannych naszych i poległych miasto nie przyjęło — odparł Jakób drżącym głosem.

Król porwał się z krzesła i w jego sercu gniew zakipiał.

— Rannym odmówiono pomocy! ależ to być nie może! — wykrzyknął.

— Oświadczo w imieniu cesarza, iż w szpitalach Wiednia brak miejsca dla

Niemców — odezwał się Matczyński, który wsunął się za królewiczem.

— Ale dla moich rannych musi się znaleźć, — krzyknął król i pięścią w stół uderzył.

Poczem ścisnął czoło, zamyślił się.

— Niech wracają do miasta z chorymi rzekł po chwili, wnet wyślę list do cesarza, który ich poprzedzi. Niech tu przyjdzie ksiądz podkanclerzy. Zasiadł napowrót.

— Co o poległych powiedzieli? — zapytał jeszcze — czy i tych nie chcą?

— Mówią, że na cmentarzu swoich pogrzebią, a nasi mogą spocząć na pobojoisku — rzekł Jakób.

— Niech spoczną więc na polu chwały, ale ranni muszą otrzymać wygodę i opiekę w samem mielcie.

Niebawem nadszedł ksiądz Gniński i z pismem królewskim podążył do kwatery cesarskiej.

Uspokoilo się wszystko dokoła, Sobieski sam został i rozpoczął list do królowej.

"Jedyna duszy y serca pociecho, najśliczniejsza i nayukochańsza Marysieńko. Bóg y Pan nasz, na wieki błogosławiony; dał zwycienstwo y sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek,

dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze,  
Nieprzyjaciel, zaśławszy trupem  
aprosze, pola i obóz, ucieka w konfuzyi. Wielblondy, muły,  
bydło, owce, które to  
miał po bokach, wojska naszą brać poczynają, przy których  
Turków trzodami tu  
przed sobą pędzą; drudzy zaś, osobliwie des Renegats! (1) na  
dobrych koniach y  
pienknie ubrani od nich tu do nas uciekają. Taka się to rzecz  
niepodobna stała,  
że dziś już między pospółstwem tutaj w mieście y u nas w  
obozie była trwoga,  
rozumieionc i niemogone sobie inaczey perswadować, ino, że  
nieprzyjaciel nazad  
się wrócił. Prochów samych i amunitii porzucił wiencyy niżeli  
na milion.  
Widziałem tu nocy przeszłej rzecz tę, którem sobie zawsze  
pragnoł widzieć;  
Kanalia nasza w kilku miejscach zapaliła prochy, które cale  
sądny dzień  
reprezentowały bez szkody ludzkiej pokazały ino na niebie,  
iako się obłoki  
rodzo. Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na iednym  
koniu

i w iedney sukni. Jam został jego sukcesorem, bo po wielkiej  
czeniści, wszystko  
mi się po nim dostało..  
Mam wszystkie znaki iego wezyrskie, które za nim noszo,  
chorongiew

mahoinetańsko, którą mu dał cesarz iego na wojnę y którą  
dziśże ieszcze do Rzymu  
posłałem Oycu Św. przez Talentego pocztą. Namioty, wozy  
wszystkie dostały się  
mnie et mille d'autres galaneries fort folies mais fort riches, (i  
wiele innych  
drobiazgów bardzo ładnych i bardzo kosztownych) których się  
jeszcze siła nie  
widziało. "

Znużony pisaniem król przerwał list i poszedł do drugiego  
przedziału namiotu,  
gdzie kazał przynieść mięsa, wina i owoców poczem panów  
na wieczerzę zaprosił,  
posilając się gawędzili o bitwie stoczonej, rozprawiali o ilości  
wziętego  
niewolnika, oraz zdobytych namiotów których nie było  
jeszcze czas dokładnie  
obliczyć. Król utrzymywał, że około stu tysięcy jeńców tych  
zostawili Osmani.

— Co za delicye miał w swoich namiotach wezyr — rzekł  
Matczyński — czyście  
widzieli miłościwy panie, łaźnie, ogródek, fontanny, króliki,  
koty? nawet papuga  
przy nim była, chciałem ją pojmać dla królewicza, ale mi  
uciekła.

— Fanfanik już nie dzieciak, co mu po papudze — odparł król

— najpiękniejszą  
szablę turecką mu podaruję, dał prawdziwe dowody męstwa.

— Prawda! przytwierdzili wszyscy.

— A uważaliście waszmościowie, jakie szkody poczynili ci  
barbarzyńcy Turcy w  
mieście — odezwał się znowu król — z Beluardów  
podmurowanych, okrutnie

wielkich i wysokich porobili ruiny, pałac cesarski w niwecz  
od kul zepsowany,  
wartoby to paskustwo całkiem z Europy wyrzucić.  
Miączyński chciał coś na to odrzec, lecz oznajmiono  
przybycie księcia  
Lotaryńskiego. Na czole Jana Ul zjawiała się zmarszczka, gdy  
spozrzegł  
wchodzącego, podniósł dumnie czoło.  
— Sądziłem, że Turek uprowadził was z sobą bom nigdzie  
dopatrzyć was nie mógł —  
rzekł.  
Książę pochylił głowę, by zmieszanie ukryć.  
— Byłem u cesarza Leopolda, odparł, ukłon składając —  
radziliśmy, jak  
podziękować waszej Królewskiej Mości za przysługę mu  
oddaną.  
— Przyjęciem uczciwem wojsk i pogrzebaniem moich  
poległych, — rzekł surowo król.  
— Ranni pomieszczeni są już po lazaretach i u mieszczan  
niemieckich, nasi  
lekarze i nasze Siostry Miłosierdzia krzątają się w tej chwili  
koło nich. I dla  
poległych kopiają właśnie grobowe mogiły na cmentarzach.  
Król powiódł wzrokiem po panach, na ustach jego wił się  
uśmiech. Zatem podniósł  
się Miączyński i zwrócił się do księciu.  
— Spełnił cesarz swój obowiązek względem tych, co za niego  
krew przelali, lub  
oddali życie, a miłościwemu panu naszemu jakże podziękuje?  
— zapytał.

— Za chwilę zjawi się tutaj poseł cesarski z listem najjaśniejszego pana —  
odparł książę.

— Siedźcie tymczasem z nami i pokrząpcie się winem, —  
rzekł, król pomny zawsze  
na obowiązki gościnności.

A gdy Lotaryńczyk spełnił jego życzenie, począł go  
rozpytywać o dalsze zamiary  
cesarza względem Turków.

Niebawem zjawił się poseł cesarski z listem oraz z piękną  
szablą dyamentami

sadzoną. Miączyński odebrawszy list i szablę, podał je  
królowi, który pieczęć

natychmiast rozłamał i pismo wzrokiem przebiegł.

— Cesarz prosi, abym mu naznaczył miejsce spotkania, chce  
osobiście mi  
podziękować, rzekł po chwili królewiczowi tę szpadę w darze  
przysyła.

— Oby nie w zastępstwie obiecaney arcyksiężniczki —  
szepnął Miączyński do  
Matczyńskiego.

— Oświadczcie cesarzowi, iż na tem samym miejscu, na  
którem w sprawie kościoła  
chrześcijańskiego walczyłem, naznaczam spotkanie —  
odezwał się tymczasem król.

Nazajutrz na równinie Ebersdorfskiej pod Schwetau nastąpiło  
spotkanie króla z

cesarzem Leopoldem, które tak opisał naoczny świadek  
Dyakowski w swym

Summaryuszu okazyi wiedeńskiej.



"Który cesarz jak się zbliżył, wojsko wszystko czekało go, a król z wojska niedaleko z hetmanem w. kor. Jabłonowskim naprzeciw cesarzowi; hetman zaś polny Mikołaj Sieniawski został się w wojsku. Jak tedy cesarz postrzegł osoby królewskiej majestozą, porwał się do kapelusza; ale ministrowie jego przytrzymali mu rękę, mówiąc: "Stój, Mości cesarzu, przeciwko powadze twojej. " Gdy się już tak zjechali, że się ko-

nie ich z sobą stykały, dopiero król porwał się do czapki a cesarz do kapelusza; oba razem prawie zsiadli z koni, witali się z sobą, rozmawiali. Pułkownicy też nasi poczęli się zjeżdżać; a który przyjechał, pokłonił się cesarzowi, to on tylko kiwnął głową, a kapelusza nie zdjął. W tem hetman polny Mikołaj Sieniawski jedzie do powitania cesarza, i pyta się powracających: "A jak tam cesarz przyjmuje naszych senatorów, pułkowników?" Odpowiadają mu, że wszystkich jednakowo, bo kapelusza nie zdejmują, tylko głową kiwa. Hetman mówi: "Jadę i ja tam, może i mnie tak zrobi, ale ja mam sztukę na hardego. " Przyjechawszy tedy, zsiada z konia i prościuteńko idzie do króla i cesarza w czapce; a przyszedłszy

przed nich, zdjął czapkę i od' dawszy honor królowi, wdział  
czapkę. Dopiero  
obróciwszy się ku cesarzowi samemu, tylko się buławą skłonił  
nie zdejmując z  
głowy czapki, i podparłszy się buławą, tak przy nich stał. Gdy  
się zaś hetman  
kłaniał królowi, rzekł do niego król; "Mości panie, a cesarz?"  
dając znak, aby  
się pierwszej pokłonił cesarzowi; na co hetman odpowiada:  
"Wiem, Mości królu, że  
on cesarz cesarstwa, a W. K. M. jest pan i król mój. "  
Pogadawszy tedy król z  
cesarzem, wsiedli obadwa na konie, i począł cesarz wojsko  
wszystko w szyku  
stojące lustrować, począwszy od królewskiego pułku, i jako  
zwyczaj jest, że  
przed monarchami zniżają chorągwie tak i pułki królewskie i  
hetmana w. kor.  
zniżali. Gdy zaś przyjechał cesarz na pułk hetmana polnego,  
żadnej chorągwi nie  
zniżono; co uważając cesarz, pyta się za-  
Dworzanin królewicza Jakóba. 15

raz: "co to za racya, że górniesze pułki zniżały chorągwie  
przedemną, a w tych  
nie zniżają?" Ktoś mu odpowiedział, że hetman, co jego pułki,  
ma urazę do W. C.  
Mości. Pyta się cesarz: "o co?" Odpowiedzieli mu: "że kiedy  
W. C. M. witał, nie  
uchyliłeś kapelusza. " Odpowiedział cesarz: "Czemuście mnie  
nie przestrzegli?"

Już tedy po uczynieniu sobie tej relacji, gdy przyjechał na którą chorągiew, to ledwo nie tkał kapeluszem na nią, nawet wołoskim i tatarskim chorągwiom też czynił weneracyą."

## IX.

Olbrzymia armia Kary-Mustafy pomimo pogromu i bezładnej ucieczki zpod Wiednia, nie była jednak zupełnie zniszczona przez jedną bitwę. Liczne jej oddziały, znajdujące punkt oparcia w twierdzach, węgierskich, będących w rękach Turków, — mogły zebrać się na nowo i w razie powrotu Sobieskiego do Polski, grozić stolicy cesarstwa niemieckiego. Z tego powodu król uważał za konieczne dla dopełnienia przyjętych względem papieża i cesarza zobowiązań, ścigać i zgnieść resztę tej armii, stanowiącej siły, znacznie większe niż zjednoczone wojsko chrześcijańskie. Pomimo więc widocznej zmiany w usposobieniu cesarza, wojska, będące pod dowództwem króla, ruszyły zpod Wiednia na wschód, brzegiem Dunaju.

Przodem podążył hetman w. kor. Jabłonowski, za nim król, a potem książę Lotaryński.

Pizy królu jechał syn jego, a przy królewiczu Jaśko Golański,  
który naparł się  
koniecznie do tej wyprawy. Lekarz Pecorinini radził, aby  
został w Wiedniu, póki  
z rany się nie wyleczy, ale on ani chciał słuchać o czemś  
podobnem.

— Umarłbym tutaj z tęsknoty po was, mości królewiczu i po  
swoich — odparł, kiedy  
królewicz nakłaniał go, aby lepiej zaczekał na książąt  
niemieckich, którzy za  
kilka dni po królu wyruszyć mieli. — Ręka moja już zdrowa, a  
gdy później z  
Niemiazkami przybędę, to już i Turków dla mnie nie  
zostanie, bo nasi ich  
wykurzą tam, gdzie pieprz turecki rośnie. Dosiadł więc konia  
z gęstą miną, lecz,  
gdy który z towarzyszy potracił go przez nieuwagę, sykał i  
kłał głośno.

Królewicz z szablą błyszczącą dyamentami i błyszczącemi  
oczami roił o powtórny  
spotkaniu.

— Teraz miłościwy rodzic nie utrzyma mnie, pierwszy na  
nich się rzucę — mówił do  
przyjaciela.

— Ale nie sam jeden, jeno ze mną — odpowiedział Jaśko.  
Sobieski słyszał niekiedy gawędy młodych i z uśmiechem  
pokręcał wężem,  
spoglądając z zadowoleniem na syna.

— Zmężniałeś mi Waszmość — odezwał się naraz,  
zwróciwszy się do Jakóba — własna  
matka cię nie pozna. Dawniej przypominałeś laleczkę z  
porcyneli, teraz

prawdziwego rycerza. Fanfanikiem, dalibóg nie godzi się już więcej cię nazywać.

Hetmani i część starszyny nie pozbyła się z serca urazy do Leopolda, a wielu

dziwiło się królowi, że nie wraca do kraju.

— Kieby nas był obóz turecki nie posiłkował obrokami, nasze konie dawno by z głodu padły — mówili.

— I ludziom takąż śmierć grozi, toć żadnych zapasów "nie przygotowali, a tu,

gdzie okiem spojrzeć — pustynia. Widać, że tu Turcy i Tatarzy gospodarowali —

odezwał się koniuszy Wołyński.

— Bóg nas nie opuści i radę sobie damy, bo służymy dobrej sprawie — przerwał

tubalnym głosem te narzekania pan Grałeczowski, podczaszy lubelski.

— Oj te Niemce, na co my do nich przyszli? — płaczliwym głosem odezwał się pan

strażnik Lipowski — nacierpim się ino, nagrody nijakiej nie otrzymamy.

— A z pod Wiednia toś łupu nie wziął? A nagrody w sercu nie masz — zgromił go

surowo Gałeczowski — moje przynajmniej gada mi ciągle: rade jestem z ciebie! A

tak głośno gada, że i głodu nie czuję i niczego się nie boję j pewien jestem, że

przyszłość zgotuje nam nagrodę godną.

— Pewno, że zgotuje, a gdybyśmy za lat sto, dwieście i tysiąc nawet z grobów

powstali, to ręczę, usłyszelibyśmy, jako nas chwałą potomni,  
jako czczą nasze  
imiona i chlubią się obroną Wiednia.  
Ucichli wszyscy, jeden tylko Lipowski odezwał się jeszcze:

— Racya jest, ale tymczasem ciężko i na ząb niema co  
położyć i pewnie znowu  
przyjdzie ludziom nogi moczyć i mosty na Dunaju budować,  
bo Niemcy choć obiecują  
a nie robią. Sami siedzą w Wiedniu, jedzą, piją i spoczywają  
wygodnie,  
czekając, aż my im drogę jeszcze do Węgier oczyścim.  
Nikt mu nie odpowiedział, bo w tej chwili dobiegły ich echa  
wystrzałów. Król  
konia zatrzymał, wyciągnął rękę ku lewej stronie, gdzie na  
ciemnym tle  
widnokregu zarysowały się właśnie jakieś wieżyce i baszty.  
— Co to za zamek? — zapytał.  
— Tam pono lwy hodują na igrzyska, — odezwał się  
Międzyński,  
— Gadasz Waszmość! toć słyszę wyraźnie bitwę, chyba lwy  
nauczyły się bronią  
władać — odparł Sobieski. — Niech podjedzie tam który z  
oddziałkiem i dobędzie  
tego zameczka, umieścili się tam Jańczarowie.  
— Pozwólcie i mnie pojechać, miłościwy panie — rzekł  
królewicz.  
— Ruszaj, jeśli wola — odparł król — ale pewnikiem i twój  
dworzanin pocznie się  
napierać.

— Dworzaninowi nie godzi się pana swego odstępować —  
odezwał się nieśmiało

Jaśko.

Jakób skinął na niego i podążyli galopem za Miaczyńskim, a  
król przyłożył lunetę

do oczu i począł przyglądać się zameczkowi.

W godzinę niespełna zakurzyło się na drodze.

— Wracają — zawołał Matczyński.

— Fanfanik przodem pędzi — rzekł król.

W istocie, królewicz w pierwszym jechał szeregu, obok niego  
Jasiek i dwóch

rajtarów towarzyszy. Osadzili pianą okryte rumaki przed  
królem.

— I cóż tam? — zapytał ich Sobieski.

— Kilkudziesięciu janczarów, którzy pierwsi z pod Wiednia  
uciekli, zamknęło się

w owym zamku, myśląc że sam wezyr tam się schroni, lecz  
wezyr zamek ominął. Już

nasi się do nich zabrali — rzeki Jakób — a oni z rusznic się  
bronią.

— Wypłoszymy kukułkę z wodnego gniazda, — odparł król  
wesoło.

I bodnął konia ostrogą.

Janczarowie, zobaczywszy coraz liczniejsze hufce ciągnące do  
zaniku, uciekli

tylną bramą i rozpierzchli się jak stado kruków, tak, iż  
pojedynczo trzeba było

łowić. Za to znaleziono w zamku 50, 000 sucharów tureckich,  
co w obec braku

żywności było arcyważną zdobyczą.

— No, co? czy nie czuwa nad nami Opatrzność?— zapytał Gałęzowski Lipowskiego.

— Zobaczymy, co dalej będzie — odparł ten niedowiarek z goryczą.

Jakoż pod Presburgiem trzeba było przeprowić się na lewy brzeg, a mostu nie było, stawiali go znowu Polacy, a tymczasem brak było prowiantów i jakaś gorączka zwana węgierską, dokuczała ludziom. Chorowali na nią i hetmani, a sam pan Gałęzowski, podczaszy lubelski, zmarł z niej na stanowisku, nie kładąc się prawie.

Sarkaniu mimowoli powróciło na usta tego i owego.

— Czy który z nas przypuszczał, dom opuszczając, że za taką akcją, w której życie oddaje cześć w ofierze, spotka nas zapłata, jaką dał nam Leopold — rzekł Międzyński.

— Obiecywał, iż na 100, 000 wojsk prowiant nam zaopatrzy, a tu co?

— Co po dokonanej wiktoryi, kiedy czeka nas konfuzya, która sławę zdobyła, pod Wiedniem, oszpeci całkiem — mrucał Lipowski — głód siły odbierze, choróbska morzą...

Jasiek i Jakób, siedząc w obozie na pieńkach, słuchali tych narzekań.

— Strach nie wchodzi ci za kołnierz? — zapytał Jakób przyjaciela.



— Dałbym ja jemu — odparł Jasiek i pięść zacisnął. — A czy to nasz miłościwy pan serce traci, albo z drogi zawraca?

Pod Presburgiem przybył do obozu z Krakowa Dupont z listami.

— A dawajcież mi go! — wykrzyknął król uradowany tą wiadomością i twarz jego rozjaśniła się natychmiast.

— Dupont! Dupont! chodź do mnie — począł wołać.

— Oto jestem, najjaśniejszy panie! — odparł ten, składając ukłon głęboki przed królem i kończąc poprawiać koronkowe żaboty, zmięte płaszczem podróźnym, który już zdążył zrzucić z ramion.

Jan III śmiał się do niego.

— Jakże tam w Krakowie, miłościwa królowa, dzieci? — zapytał głosem mocno wzruszonym.

Dupont w odpowiedzi podał królowi list i paczkę niewielką.

W paczce było kilka szarf ślicznie haftowanych.

Wielkie zadowolenie odmalowało się na jego twarzy: szarfę różową do ust przycisnął.

— Nie mogę rączek, które koło onej ozdoby robiły, wycalować, tę pracę subtelną wycalowałem — rzekł następnie i list czytać zaczął.

— Bogu niech będzie chwała, wszyscy w domu zdrowi — rzekł — i w kraju spokojnie;

a wiecie waszmoście, kto onę różę na niebieskiej szarfie  
haftował? Moja Kostunia  
miła, jej drobne rączyny pracowały koło tej misternej roboty;  
trzeba posłać jej  
w nagrodę jaką kosztowną drobnostkę z namiotu wezyrskiego.  
— Poślijcie, miłościwy panie, królownie skrzyneczkę, pełną  
niewieścich  
klejnotów, którą znalazł Łagowski — rzekł Matczyński.  
— Za kosztowny to dar dla takiej dzieciny — odparł Sobieski  
— onę szkatułkę  
wręczy Dupont miłościwej królowej, Kostunia dostanie  
półksiężyc dyamentami  
sadzony. A Papusieńce (1) poślę jedną z tych dwóch  
skrzyneczek, kością i  
perłową, masą sadzonych. Spocznij teraz sobie w moim  
namiocie, mój Duponcie, ale  
nie spodziewaj się sutej wieczerzy, bo my tu nie tak

w jadło zaopatrzeni, jak przed Wiedniem — dodał. — Jutro z  
pismem mojem  
odjedziesz.

To rzekłszy, król kazał sobie podać stolik przenośny i tak jak  
siedział na  
pieńku, zaczął list pisać, ale wiatr zdrajca wyrwał mu z rąk  
papier i wszystkie  
nań wylał inkaust. Musiał więc wejść do namiotu.  
— "Jedyna itd. (pisał) Narzekano kiedyś za Rzymian na  
Annibala, że zniósłszy

wojsko ich, zażyć wiktoryi nie umiał. Mybyśmy zaś umieli,  
ale czy nie chcemy,  
czy Bóg nie pozwala, czy też jest w tem coś, czego my  
rozumieć nie możemy. Myśmy  
tu w przedzie a przed nami jeszcze mil kilka, pan starosta  
Łucki z panem  
Strzałkowskim, ścieląc trupem drogi, niewolników tureckich  
trzodami po  
gościńcach y szlakach zbierają. Wojska cesarza imci y inne  
stoją za nami o milę  
tylko od Wiednia. My dziś dalej w imię Boże ruszymy; oni  
pewno jeszcze zostaną.  
"

I dalej opisuje swoje troski i zawody, lecz z takim  
zastrzeżeniem:

"Z listów tych moich każ We. m. s. gazety koncypować, ale  
tego nie pisać, na co  
się tu skarżę, a to trzymając się starego wierszyka  
Kochanowskiego:

Nie źle czasem zamilczeć, co człowieka boli,  
By nie rzeki nieprzyjaciel, że cię mam po woli.

To tylko pisać, że komisarze cesarscy zawiedli wojska w  
prowiantach, na które  
Oyciec św. tak wielkie ordynował sumy, że król w przedzie,  
że jego lekka  
kawalerya w tropy idzie za nieprzyjacielem."

O królewiczu zaś takie umieścił słowa:

"Fanfanik z łaski Bożej zdrów y twarz cale inaksza, nie tak iak bywało."

Nazajutrz jednak gdy wręczał list Dupontowi, zapytał królewicza:

— Możebyś wrócił razem z nim do Krakowa? Jakób poczerwieniał.

— Nie czyńcie mi, miłościwy panie, takiej konfuzyi — rzekł

— alboż zasłużyłem na

taki dyshonor, czyż nie dawałem w wyprawie onej dowodów, żem mężny.

Król westchnął.

— Ha, co Bóg ześle, to będzie, trzeba przyjąć — odparł. —

Będziemy od dziś

codzień rano śpiewać wszyscy razem: "Kto się w opiekę poda Panu swemu. "

I o świcie każdego ranka, z pieśnią skowronka leciał jednocześnie w błonia nad

Dunajem rozpostarte przez tysiące usty nucony hymn:

"Kto się w opiekę poda Panu swemu,

A całym sercem szczerze ufa Jemu,

Śmieie rzec może: mam obrońcę Boga,

Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga. "

\* \* \*

Nareszcie do Presburga nadciągnęły niektóre hufce niemieckie z księciem

Lotaryńskim i elektorem Bawarskim na czele.

Elektor, który polubił bardzo królewicza Jakóba, zaczepiał go co chwila.

— Zawiodła was arcyksiężniczka, pojmijcie moją siostrę za  
żonę, gładsza jest o  
wiele niżeli sama Madame la Dauphine, — rzekł raz do niego  
— wiosen liczy  
dopiero dwanaście, właśnie dla was towarzyszka, królewiczu.  
— Podaruję jej małego Turczynka, tego, co się wam tak  
podoba; weźcie go  
tymczasem sobie, a gdy powrócicie do domu, siostrze oddacie,  
jako upominek od  
jej przysłego — odparł wesoło Jakób.  
— Oj! nie pora to myśleć o dziewosłębach, gdyż wojna nie  
skończona i Turcy  
niedaleko — pomyślał w duchu Jaśko, który był obecny tej  
rozmowie.

X.

Dnia 6 października wojsko królewskie, rozpraszając tureckie  
oddziały i  
zdobywając mniejsze twierdze, doszło do miasteczka,  
zwanego Parkanami nad  
Dunajem, gdzie był most turecki, łączący tę miejscowość z  
wielką fortecą,  
Strigonium czyli Grań.  
Na niej Kara Mustafa, który sam w ucieczce zatrzymał się w  
Budzie, pokładał  
największą nadzieję i nakazał bronić jej paszom pod karą  
stryczka. Mieli też  
Turcy wojska więcej i dział, niż wszyscy chrześcijańscy  
sprzymierzeńcy, to też

gdy dowiedzieli się z wieczora, że mały oddział wojewody Jabłonowskiego chce zdobyć Parkany, a za nim stoi o milę tylko 5000 wojska pol-

skiego, jęli przeprowadzać nocą po moście jak najwięcej ludzi, żeby nazajutrz oddział ten znieść.

Nie myśleli, że sam król, że sam Sobieski dowodzi tym oddziałem.

Wieczór zapadał, na niebo wypłynął już księżyc, lecz jeszcze krył swoje srebrne

światło przed purpurowym blaskiem gasnącego dnia. Czeladź rozbiła namioty i

roznieciła ogniska, a rycerstwo, posiliwszy się mięsem, bo chleba brakło, o

spoczynku myślało: jedni rzucili się na posłanie i chrapali głośno, drudzy

słuchali szeptów spuszczałej się zwolna na ziemię nocy i patrzali w gwiazdy.

Król usunął się do swego namiotu, zabrawszy z sobą tylko pana koniuszego

koronnego. Sam nie wiedział czemu, czuł się niespokojny i smutny; siedząc na

krześle składanem, szeptał koronkę i wzdychał ciężko, ilekroć mówił:

"Święta Marya, Matko Boża módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen!"

Chociaż był wielce znużony, nie kładł się wszakże, gdyż oczekiwał wiadomości od

wojewody Jabłonowskiego, którego wysłał do Parkan, aby tę twierdzę oczyścił z załogi tureckiej i tym sposobem utorował drogę do warownego Strygonium, który sam chciał obledz.

Odmówiwszy całą koronkę, począł przechadzać się zadumany po namiocie.

— Czyście zauważyli, miłościwy panie, onego psa czarnego bez uszu, co nam dziś rano w pochodzie ustawicznie drogę zabiegał — odezwał się Matczyński.

Król przystanął.

— Mniejsza o psisko, było pewnikiem głodne i biegło za nami, — odparł — gorszy ów orzeł czarny, który przeleciał nad nami niziuteńko, gdyśmy tutaj docierali.

Tu obaj westchnęli, król przechadzał się dalej, a koniuszy zbierał w pamięci wszystkie zdarzone podczas pochodu wypadki, z których mógłby wróżby wyciągnąć.

— A ów biały gołąb co upadł po razy kilka przed naszymi chorągwiemi — mruknął.

Król wstrząsnął głową.

— Sen mara, Bóg wiara! Nie cofnę się ja już z tego miejsca, jeno naprzód pójdę — rzekł — co ma się stać, to się i stanie.

Wśród rycerzy, którzy nie legli na posłaniach, był też królewicz Jakób i nieodstępny Jaśko.

Siedzieli na jednym pieńku; znużenie usposobiło ich poważnie, patrzali w niebo, które w tej chwili przedstawiało się jak wspaniały płaszcz zahaftowany gwiazdami, w który przybrał się Pan Wszechświata. Młode ich dusze uleciały do nieba, korzyli się Przed Bogiem i opiece Jego się polecali. Naraz Jasiek spojrzał jakoś rzewnie na królewicza. — Tam w Uhrymowie może Maryś i ojciec dobrodziej i matka patrzą tak w niebo i myślą o mnie. Powiedzcie mi, mości królewiczu, czybyście się bardzo frasowali, gdybym tak poległ w której potyczce. Pod Wiedniem, choć ranę otrzymałem, nie myślałem o tem, a dzisiaj jakoś mi ciężko na duszy.

Jakób drgnął.

— Czemu wspominasz o tak przykrych sprawach? Miast krzepić moje męstwo, jakieś to zawsze czynił, ty rzucasz mi w serce trwogę — odparł z wymówką.

— Da Bóg nie zginę — rzekł Jasiek wesoło — chciałem jeno dowiedzieć się, czy miłym sercu waszemu jestem — dodał.

Jeszcze mówił, gdy tentent konia skłócił otaczającą ich ciszę. Przy namiotach odezwały się psy, wyciem i szczekaniem, objawiając niezadowolenie, że ich ze snu zbudzono.

Jakób i Jasiek podnieśli się jednocześnie.



— Pewnikiem wojewoda śle posła, warto go posłuchać —  
rzekł królewicz.

I skierował się przez błonie do namiotu ojca.

Właśnie, gdy docierali do szkarłatnego mieszkania króla,  
zatrzymał się tam  
jeździec. Przy blasku jasno świecącej latarni na niebie, poznali  
łatwo Denhofa,  
wojewodę pomorskiego.

Jakób lubił serdecznie tego rycerza marsowej postawy i  
silnego ducha,  
przyśpieszył przeto kroku, weszli jednocześnie do namiotu.  
Wojewoda był niezwykle blady; prawą dłonią cisnął pierś,  
jakby mu tam coś  
dolegało. Król podszedł ku niemu.

— Co tam? na Boga? Rycerz skłonił się.

— Moc wielka Turków przez most napływa. Wojewoda ledwo  
się trzyma, ze świtem  
natrą potężnie —

odparł — jam z raną w piersiach tutaj podążył, żeby ostrzedz i  
żądać pomocy.

To rzekłszy, dzielny ten mąż zachwiał się i padł na kobierzec  
namiotu. Jakób,

Jasiek i koniuszy rzucili się go podźwignąć.

— Złóżcie wojewodę na mojem posłaniu, Pecoriniego zbudzić  
natychmiast — rzekł

król podniesionym głosem — a wojewodę krakowskiego mi  
sprowadźcie.

Zahuczało w obozie, wszystkie rozkazy zostały natychmiast  
spełnione: lekarz

rannym się zajął, a wojewoda stanął przed królem.

— Jutro jak świt, całym oddziałem ruszymy z pomocą  
Jabłonowskiemu — rzekł do  
niego Sobieski. — Poślijcie do księcia Lotaryńskiego, niech  
nie bałamuci i  
natychmiast z piechotą i działami dąży pod Parkany.  
Tymczasem lekarz opatrywał rannego, a Jasiek z własnego  
popędu pośpieszył  
zbudzić śpiącego w sąsiednim namiocie księdza  
Zebrzydowskiego.

Wojewoda otworzył z wolna oczy, z pod rozpiętego na  
piersiach żupana, ukazała się  
rana krwią ciekąca, z której lekarz wyjął właśnie grot, ręką  
Turka wbity i  
złamany.

— Nie troszczcie się już o mnie — odezwał się słabym  
głosem rycerz — czuję, jako  
dusza moja wydziera się z ciała; tuszę, że Pan Bóg jej nie  
odtrąci, bo uczciwie  
żyłem, a jeśli zgrzeszyłem, to teraz dla chwały Jego imienia i za  
wiarę Jego  
świętą ginę.

W tej chwili zjawił się w namiocie ksiądz, więc Sobieski z  
synem odstepili od  
łóża; kapłan przyszedł z Olejami św. i z Wiatykiem, padli  
zatem wszyscy na ko-

lana. "Wojewoda chciał się przeżegnać, lecz ręka odmówiła  
mu posłuszeństwa,  
ksiądz go wyręczył; pobłogosławił, rozgrzeszył, nie słuchając  
spowiedzi;  
udzielił ostatnich Sakramentów.

Cichy spokój wystąpił teraz na twarz umierającego, coraz bardziej słabym głosem powtarzał za kapelanem:

"Grzesznej mojej duszy okaż zmiłowanie, Boże." Nareszcie zamknął oczy, westchnął głęboko i umilkł na zawsze.

Szept ponury chwilę trwał jeszcze w namiocie, poczem powstał pierwszy Sobieski.

— Mości koniuszy koronny — odezwał się zniżonym głosem — zajmijcie się pogrzebem

zacnego wojewody, naszego dzielnego towarzysza, a miejsce, gdzie go złożycie,

naznaczcie krzyżem, bo rodzina pewnie zwłoki do kraju zabierze, tymczasem

odnieście go do jego namiotu, a nam wkrótce czas do boju.

Nazajutrz król, rozdzieliwszy nieliczne hufce, które miał pod ręką, w trzy

oddziały, aby okrążyli nieprzyjaciela, — pośpieszył ku Parkanom.

Już byli niedaleko miasteczka, już gwary bitwy dochodziły ich, gdy naraz ujrzano

obłok kurzawy, pędzący z tętentem i wrzaskiem ku nim.

Niebawem z obłoku owego wyłonił się wojewoda

Jabłonowski, a za nim grono rycerstwa.

— Salwujcie się wcześniej, miłościwy panie! — zawołał ochrypłym głosem. — Moje

skrzydło złamane, konfuzya w wojsku, dragonia z konia zsiadać nie chce a

pohańców moc wielka.

— Śpieszmy! śpieszmy! Turcy gonia! — krzyknęli żołnierze,  
a wystraszone  
zgiełkiem konie, szamotały się i parskwały.  
Król czoło zmarszczył, wznosił szablę w górę.  
— Za mną! wracać na pole, czołem do nieprzyjaciela!  
I bodnawszy konia ostrogą, znalazł się na przedzie, a z nim  
jednocześnie Jakób i  
Jasiek.  
Głos jego zahuczał, jak piorun nad głowami wszystkich: Ci,  
którzy krzykami  
"Salwuj się!" roznosili popłoch w szeregach, umilkli; nikt nie  
wazył się nie  
posłuchać rozkazu, poleciecieli wszyscy za królem, i wpadli jak  
huragan, jak burza  
na pole bojowe.  
Zmieszali się Turcy i poczęli ustępować, lecz niestety, nie na  
długo; w tej  
samej prawie chwili, gdy Sobieski przybył swoim z pomocą,  
zjawiły się też nowe  
zastępy muzułmanów i natarły z szaloną, zaciekłością.  
Spostrzegł niebawem Sobieski, iż nie poradzi z samą konnicą  
przeważającej sile,  
więc drugiego gońca posłał do księcia Lotaryńskiego, lecz ten  
nie przychodził,  
bo Elektor Bawarski go zatrzymał.  
Trzeba więc było wracać pod osłoną piechoty do obronnego  
obozu. Widząc pewne  
niebezpieczeństwo, grożące nielicznym jego chorągwiom, król  
zwrócił się do syna:  
— Uchodź przodem ku husarzom — rzekł — i z niemi do  
obozu.  
Jakób niewyraźnie posłyszał i z Jaśkiem ruszyli nazad.

Król, wydawszy ostatnie rozkazy, aby zmniejszyć konfuzję odwrotu, skinał na uszczuplony swój orszak i ostatni ruszył do obozu, dokąd Turcy dotrzeć nie śmieli.

W obozie tymczasem powstało wielkie zamieszanie, na razie brakło wielu, a między innemi króla i królewicza. Rozeszła się wieść, że zginęli.

Żołnierze z regimentów pieszych, kiedy im dano znać, że król nie żyje, krzyknęli do oficerów: "Już po nas, kiedyśmy ojca stracili, prowadźcie nas, niech tam pomrzemy wszyscy!"

Ale rozproszył wieść złowrogą pan Czerkas, szlachcic litewski, który wraz z Matczyńskim, Piekarskim i Ustrzyckim otaczali króla w odwrocie i od Turków obronili.

— Żyje pan miłościwy — wołał Czerkas tubalnym głosem — do połowy drogi byłem przy boku jego, opadli nas co prawda janczarowie, ale jednemu łeb uciałem, drugiemu prawe ramię, to jakby wężowi żądło wyrwałem, dwóch innych miłościwy pan sam własną ręką zwałił z konia, a nie próżnowali i inni towarzysze... Król jegomość zatrzymał się, bo królewicza dopatrzeć nie mógł, mnie kazał biedz przodem zobaczyć, czy niema już go w obozie. — Niema go tutaj i nie było — odezwały się liczne głosy.

— A bodajbym sam poległ z ręki niewiernego! toż król taką stratę gotów życiem  
przyplacić; rozmiłował się teraz w synu wielce — jęknął  
Czerkas.

— Nie dziwota, toć chluba taki syn — odparli inni.  
Kilku rycerzy pociągnęło naprzeciw powracających i  
wymieniali nazwiska.

Naraz wzbił się olbrzymi krzyk pod obłoki:

— Król! król!

— Żyje!

— To on!

— Chwała Panu Przedwiecznemu!

Szalona radość brzmiała w głosie każdego.

I krwią obryzgani, pokaleczeni, pyłem pola bojowego osypani,  
poczęli się cisnąć

do Jana III i patrzeć mu z radością w oczy; lecz on nawet  
lekkim uśmiechem nie

podziękował im za te oznaki przywiązania; milczący i  
posepny zdawał się nie

widzieć nikogo, patrzył w przestrzeń a konia nie prowadził:  
puścił z rąk wodze,

lecz rozumne zwierzę szło zwolna, poważne, zdawało się  
stosować do usposobienia

pana.

Za królem dążyła również milcząca garstka rycerzy.

Królewicza i Jaśka między wracającymi nie było.

Radość uciekła z twarzy witających serdecznie bohatera, o  
którego niespokojni

byli, wołania ucichły, Jan III zsiadł z konia i udał się do  
namiotu. U wnijscia

zatrzymał się, zwrócił bladą twarz do Matczyńskiego.  
— Szukaj, gdzie chcesz Fanfanika — rzekł — nijakiego rozkazu ci nie wydam, póki syna nie obaczę. Wszelki rozum zda się uciekł z mej głowy.

To powiedziawszy, usiadł na swoim krześle i twarz w dłoniach ukrył.  
Wszyscy się cofnęli, lecz tuż przy namiocie czekali rozkazu. Matczyński, zabrawszy z sobą kilkudziesięciu towarzyszy, powrócił na pole. Tak minęła godzina głucha i smutna.

Naraz król poruszył się z krzesła.

— Nie wytrzymam tutaj — rzekł sam do siebie — sam pójde szukać.

I wyszedł z namiotu.

— Konia mi dajcie, konia! — zawołał głosem niecierpliwym i brzęcącym rozpaczą.

Wnet sprowadzono białego, król wskoczył na siodło i nie wzywając nikogo, zwrócił się na pole bojowe, ale kto tylko mógł, ten za nim podążył. Aliści z lewej strony ujrzeni koniuszego koronnego z królewiczem.

— Żyje! Chwała Tobie Panie! — zawołał Sobieski.

I targnął konia; a serce tak uderzyło silnie w jego piersi, że aż pancierz drgnął.

— Mój chłopak, mój Fanfanik, Bogu niech będzie chwała na wieki! — zawołał.

Z oczu Jakóba toczyły się łzy, a z piersi płacz wyrywał.

— Co tobie? — spytał król opanowawszy się wreszcie w swej radości.

— Jaśko poległ, ratując mi życie! — odparł Jakób i  
wybuchnął, jak dziecko  
głośnem szlochaniem.

— Jakże się to stało?

— Na rozkaz waszej królewskiej mości, zwróciliśmy się  
cwałem ku hussarzom na  
lewe skrzydło, kiedy ni stąd ni zowąd wypadło na nas trzech  
janczarów.

— Królewiczu, pędź co żywo — zawołał Jaśko — ja ich  
zatrzymam. Wasze życie  
salwować należy!

Jakoś jednego ugodził na odlew w ramię, a lewą ręką i to  
ranną porwał za uzdę  
konia drugiego janczara. Widziałem; z daleka, jak zwalili się  
razem na ziemię,

odnaleźliśmy już jego ciało. O mój Jaśko drogi!  
Król zwrócił się do Matczyńskiego.

— Gdzie leży Jaśko? — zapytał.

Zamiast odpowiedzi, koniuszy ruszył przodem, szli teraz  
piechotą. Minąwszy  
rannych, których towarzysze zebrali w jedno miejsce, by  
przenieść ich potem do  
obozu, dotarli do poległych.

— Widzę go — rzekł raptem król i kroku przyśpieszył.

Wśród leżących długim rzędem, leżał i Jaśko. Śmierć nie  
spłoszyła z ust jego

uśmiechu, z jakim szedł na bój, nie zwiłała z oczu jego wiary, z  
jaką patrzył

wówczas na niebo; otwarte jego źrenice utkwione były w  
czyste niebo, nad nim



rozpostarte.

Jan III przykląkł wraz z synem obok dzielnego rycerzyka i  
szeptać począł  
pacierze.

— Gdyby nie ten sznurek koralu, co wije się po jego piersi,  
sądziłbym, że  
odpoczywa wesoło — rzekł, powstawszy od modlitwy.  
Jakób klęczał i skargi zawodził, z oczu jego znowu łzy  
płynęły.

— Zawcześnie odbiegłeś mnie — mówił — byłeś moim  
wiernym towarzyszem, moją  
tarczą i męstwem.

— Zawcześnie w istocie — odezwał się poważnie król,  
którego w tej smutnej dla  
wszystkich chwili, skargi syna, mające tylko siebie na  
pamięci, raziły —  
zawcześnie dla jego starych rodziców, którym miał być  
podporą w starości. Szkoda  
młodzieńca, co rokował, że mężem będzie kiedyś zacnym...  
Czemu o Panie zsyłasz  
na ziemię Swoją burze, które strącają z drzewa nierozwinięte  
pączki i niadostałe  
owoce?

— Nie pytajmy, czemu to i owo Pan zsyła; za słaby nasz  
rozum, by tajemnicze  
odpowiedzi jego zrozumieć — dał się słyszeć za królem głos  
dobrze wszystkim  
znany księdza Zebrzydowskiego.

— Domine, fiat voluntas tua. Orate fratres!  
Pogrzebem Jaśka zajął się sam królewicz, a miał Jaśko  
pogrzeb, o jakim może

marzył niekiedy w snach pacholecych. Grały mu trąby i biły  
bębny, świszczały  
chorągwie; sam wielki Sobieski szedł za trumną, a towarzysze  
ze skrzydłami u  
ramion, jakby wysłańcy archanioła Michała, złożyli zwłoki  
jego do osobnego dołu.  
A choć dół ten był daleko od rodzinnego sioła, gdzieś na  
pustym brzegu Dunaju,  
legł tam spokojnie, pewny, że o jego czystej duszy nie  
zapomną rodzice, siostry  
i królewicz.

\* \* \*

Powtórna bitwa, stoczona w dwa dni później pod Parkanami,  
trwała dzień cały i  
sowicie wynagrodziła niepowodzenie poprzedniej utarczki.  
Rozbite wojska

tureckie uciekły w ostatecznym popłochu za Dunaj, most i  
droga do twierdzy  
Strygonium była otwarta.  
Sobieski, miecza nawet nie odpasawszy, i wypocząwszy nieco  
w mieście, rozłożył  
przed sobą papier i pod datą 10 octobris rano, napisał list do  
królowej, temi go  
zaczynając słowa:  
— "O! jako to Pan Bóg moia iedyną, kochana Marysieńku! Za  
małą konfuzyę dal mi  
większe zwycięstwo, niżeli pod Wiedniem. Nie ustawaó Mu  
tedy dziękować, przez  
miłość moię, y ustawicznie nie przestawać prosić, aby y dalej  
pokazał

miłosierdzie nad ludem swym. Za umarłych kazać  
Ossowskiemu znowu exekwie  
odprawić w Krakowie za tych, co w tych potrzebach  
poumierali. Jam za łaską Bożą  
zdrow, po wczorajszym zwycięstwie, jakoby mi 20 lat wróciło  
się nazad. Ale tamte  
dwie nocy dały mi się we znaki, naybardziej żałując sławy  
narodu naszego. Ale  
wszystko za łaską Boga poprawiło się; i Niemcy iako znowu  
wychwalić się nie  
mogą... "

A dalej pisze jeszcze:

"Już się tu z nami śmierć tak spospolitowała, iż nie patrzymy  
na nic, jeno na  
śmierć swoich, albo nieprzyjaciół. Mnie prawie wszyscy  
chłopcy poginęli.

Golański od kuli zmarł.

Winnem miejscu dodaje, że Fanfanika dobrze dzisiaj z dział  
ostrzelono, bo z

zamku ustawicznie z okien do nas bito, ale Opatrzność  
czuwała nad nami, jeno mi  
smutno wielce po stracie dworzanina!"

Tak więc nazwisko dzielnego dworzanina królew-

cza Jakóba, zapisane w liście bohatera z pod Wiednia,  
przeszło do historii.

W kilka dni później wojska chrześcijańskie przeszły Dunaj,  
aby zdobyć warowną i  
ogromną twierdzę Strygońską.

Już od lat 140 Strygonium było w ręku Turków: odebrać im  
ową twierdzę król

pragnął gorąco. Przybył do zamku już po południu, więc resztę dnia i noc poświęcił spoczynkowi, lecz nazajutrz zaledwie świt zajrzał w okno wezwał starszyznę do wspólnej modlitwy, poczem kazał wszystkim dosiąść koni. Pogoda była piękna, złote promienie słońca wyгнаły z serc smutne myśli, ochotniej o wiele niż dni poprzednich ruszyli wszyscy w drogę. Mówiono głośno, że dzisiaj zdobędą fortecę. — Wiadomo zapewne waszmości, że Strygonium jest najprzedniejszą warownią całego królestwa węgierskiego — mówił Matczyński do Lipowskiego — toć arcybiskup mieszkał tam niegdyś; nielada chwała spłynie na nas, gdy na świątyniach tego grodu za naszą sprawą znowu krzyże zaświecą. — Jeśli je zatknjemy — mruknął Lipowski, który nie rozchmurzył jeszcze czoła — wiadomo i to zapewne waszmości, że setki bitew już stoczono koło tej twierdzy, że ziemia, po której stąpamy, tak przesiąkła krwią chrześcijańską, że gdyby garść jej ścisnąć, toby pociekła, a mimo wszystkiego Turcy jak siedzieli, tak i siedzą w Strygonium. — Da Bóg, że dłużej niż do jutra nie posiedzą — odparł Matczyński.

\* \* \*

Wezyr w ostatniej chwili postanowił jednakże nie dopuścić Sobieskiego do fortecy i wysłał wojsko naprzeciw oblegającym szeregom. Ujrzawszy nieprzyjaciela, król zatrzymał swoją hufce, ustawił je w szyku bojowym, poczem skinął na Jabłonowskiego, na syna i do ataku wypuścił. W krótkim czasie zmiotli z przed siebie nieprzyjaciela i z okrzykiem:  
— Chwała Panu Przedwiecznemu! puścili się galopem ku twierdzy. Pierzchali przed nimi w najwyższym nieładzie Turcy, a dopadłszy do bramy fortecy, zawarowali się za nią.  
— Roztworzym sobie sami wasze wrota — mówił ten i ów, śmiejąc się. Szturmy trwały całe dwa dni: nareszcie Turcy zrozumieli, iż nie obronią twierdzy i upokorzeni, otworzyli bramy przed zwycięzcami. Pasza Alepy, zebrawszy resztę niedobitków, opuścił miasto, unikając spotkania z Sobieskim, który wszedł natychmiast do opuszczonego zamku. Teraz dopiero rycerstwo poczęło rozglądać się uważnie po twierdzy, którą zdobyło. Góra, na którą się wdrapali, była złożona z marmurów różnokolorowych, wypływało z niej kilka ciepłych źródeł; zamek był piękny, niezmiernie mocnej struktury, lecz najpiękniejszą jego częścią była marmurowa kaplica, z której Turcy meczet zrobili.

Sobieski kazał urządzić ołtarz w odzyskanej kaplicy i krzyż na dachu umieścić,  
nazajutrz zaś odprawić kapelanowi dziękczynne nabożeństwo;  
poczem zwycięzca  
tylokrotny muzułmanów, zabrał się do pisania listów, by żonę,  
cesarza] Leopolda  
i papieża uwiadomić o nowem swoim zwycięstwie, które tym  
razem ostatecznie  
groźbę najazdu tureckiego usuwało.  
Niebawem świat cały zabrzmiał chwałą zwycięstwa, o jakim  
przeszłe wieki nie  
słyszały. Nazywano Jana III-go "Nowym Machabeuszem," po  
wszystkich kościołach  
uwielbiano imię Sobieskiego, nie było poety, któryby go nie  
sławił.  
— Ocaliłeś wszystkie państwa i narody — pisała do niego  
królowa szwedzka  
Krystyna — Tyś pierwszy, któryś we mnie zazdrość obudził,  
zazdroszczę ci, że  
jesteś oswobodzicielem chrześcijaństwa!  
Tylko na zamku wiedeńskim, skąd największa płynąć miała  
wdzięczność, rzadko  
mówiono o wielkim bohaterze, bo imię jego zasepiało czoło  
cesarza Leopolda.  
Tymczasem król dokończywszy dzieła swego, z częścią,  
wojsk ruszył na północ z  
powrotem do Polski, zdobywając po drodze pomniejszych  
twierdze; 1-go grudnia  
stanął w Lubowli, już we własnym kraju.

Gdy stanęli na granicy, królewicz, który jechał obok króla,  
westchnął głęboko:

— Czemu to jednak mój wierny Jaśko nie doczekał dnia  
dzisiejszego — rzekł cicho

— jakże byłby się radował naszą chwałą.

— A tego Waszmość nie wiesz, że dusza jego cieszy się naszą  
chwałą? — tonem

napomnienia odezwał się król — ciało w mogile nie dzieli  
naszej radości

ziemskiej i tryumfu, ale duch jego krąży (nad nami i cośmy  
uczynili dla chwały

Fana Wszechrzeczy, to rozumie i tem się wespół z nami  
cieszy.

## ZAKOŃCZENIE.

Lotem błyskawicy rozchodziły się po kraju wieści o  
zwycięskiej wyprawie i

pogromie Turków przez króla Jana III, o jego powrocie na  
święta Bożego

Narodzenia do Krakowa. Ale o szczegółach, o tem kto poległ,  
a kto ocalał, kto

się i czem odznaczył, nie wspominało jeszcze. Wyglądały  
więc z utęsknieniem

matki synów, dzieci — ojców, siostry — braci — wrócić li  
żywi z pola i czy  
rychło.

Już wiosna ustroiła drzewa, krzewy i łąki świeżą zieleni szatą,  
już grusze i

jabłonie kwitną w ogrodach, a konwalie po lasach, już ptactwo  
wije swoją gniazda  
i radosny hymn wzbija się każdego ranka pod jasne obłoki do  
Stwórcy

Wszelkierze.

Tak pięknie, tak ciepło, tak wesoło było w Uhrymowie, że  
Maryś, skoro świt  
zajrzał w okienko, wybiegała natychmiast przed dom i rączki  
na piersiach  
złożywszy, wzrokiem zachwyconym wpatrywała się w zielony  
kobierzec, kwiatami  
zasiany, który rozścielał się szeroko i daleko wkoło domu.  
Patrzała, wzrok zachwycała pięknnością natury,

ustami piła świeże powietrze łąk, słuch czarowała śpiewem  
ptaszek, którym  
przygrywały muszki na swych skrzydełkach i wietrzyk  
leciuchny na listkach i  
żdźbłach traw.

Patrzała, patrzała, a myślą i sercem biegła przez pola  
ojcowskie, poza lasy  
sąsiednie i góry aż pod Dunaj do tych hufców, z którymi  
odjechał jej Jaśko, brat  
jedyński; pytała słońca, ptaków, muszek, kwiateczków.

— Nie wiecie li, kiedy Jaśko powróci?

Wietrzyk zrywał się silniejszy, potracał liliowe  
dzwonki, a Marysi się zdawało, że kwiatki odpowiadają jej.

— Wróci Jaśko rychło, posłyszysz o nim niebawem.

Już pojedyncze oddziały ściągnęły do kraju; dowiedziała się, o  
tem pewnego

wieczora Maryś, więc wcześniej jeszcze wybiegała przed dom,  
by pierwsza mogła



spotkać i uścisnąć brata, gdyby niespodzianie zjechał i nieraz zdawało jej się, że widzi Jasia na dzielnym koniku, pędzącego gościńcem, w hełmie i lśniącym pancerzu, z uśmiechem na ustach, z głową dumnie podniesioną, lecz ze smutkiem przekonywała się, że owo widzenie jest [tylko złudzeniem, wracała więc do domu i patrzyła badawczo w źrenice ojca, bo coś miarkowała, że od owego dnia, w którym jeden z sąsiadów imię pan Burakowski powiedział im, że kilka oddziałów już powróciło do kraju, ojciec jakoś posmutniał i pochylił się, jakby nagle postarzał. Pewnego jednak ranka, gdy Maryś stała na ganku zapatrzona w dal, zasłuchana w szepty przyrody, do-

biegające ją zewsząd, z ust jej wyrwało się radosne wołanie:

— Jada! jada rycerze!

Tym razem nie było to złudzenie.

W dali widać było kupę jeźdźców świecących, zbrojami.

— Jaśko! Jaśko jedzie! — zawołała głośniejszym i zarumieniona jak różyczka, wbiegła

do izby, w której ojciec, wróciwszy z pola, pił właśnie grzane piwo, a matka

pytała go, czy nie miał świeżych wieści o królu, no i o synie.

— Jaśko już ku nam śpieszy — odparła Maryś matce za ojca, który wydawał się tak

zajęty posiłkiem, że nic nie odpowiedział. Ale na głos córki,  
wojski łyżkę z

hałasem opuścił, bladą jego twarz czerwona łuna oblała.

— Jaśka widziałaś? — zapytał drżącym głosem.

— Jeszczem go nie rozpoznała wśród innych, ale widziałam  
pięciu rycerzy,

skręcających z gościńca na naszą drogę, pewnikiem go  
odprowadzają — odparła.

I nie czekając na rodziców, wróciła na ganek, by pierwsza  
zawisnąć na szyi

brata.

Golański westchnął i zwolna powstał z krzesła, pani Hanna za  
córką podążyła.

I ona była od jakiegoś czasu smutna; domyślała się że jakaś  
troska gryzie serce

męża, ale jaka — pytać nie chciała; lękała się usłyszeć coś  
takiego, o czym

myśleć nie śmiała. Teraz ta obawa uleciała z jej duszy: biegła  
szczęśliwa na

ganek.

— O Panie, wszakże byłeś miłosierny dla nas? — szeptały jej  
usta.

I stanęła obok Marysi, również zarumieniona, i wzrokiem  
poza dziedziniec

wybiegła. Na drodze widać było jadących rycerzy, i choć  
rysów twarzy rozpoznać

nie mogła, zdawało się matce, że jedynaka poznaje.

Maryś klaszcze w dłonie, skacze, jak sikorka.

— Jedzie, jedzie Jaśko! — powtarzała.

A za niemi na progu drzwi sieni stoi stary Golański,  
nieruchomy jak posąg i  
blady jak ściana. Obejrzała się na męża pani Hanna.  
— Jak wam się zdaje, czy to nasz chłopiec powraca? —  
odważyła się zapytać.  
— Cokolwiek będzie, powiemy: "Bądź wola Twoja, Panie" —  
odparł jej łagodnie.  
Pani Hanna oczy ku niebu podniosła.  
— O Boże miłosierny! — wykrzyknęła.  
Tymczasem rycerze podjeżdżają, coraz bliżej, lecz czemuż to  
Maryś uciekła nagle?  
Uśmiech szczęścia uleciał z jej ust, jak z kwiatka motyl  
niewierny, coś jakby  
niepokój zaczyna przeglądać z jej oczu, do niezabudek  
podobnych.  
Nareszcie rycerze wjechali na dziedziniec przez otwarty  
kołowrót i parami, stępa  
podjeżdżają, do białego domku, rzekłbyś, posłańcy złej wieści.  
— Niema Jaśka z nimi — szepnęła Maryś. I róże uciekły z jej  
lic.  
— Niema — powtórzyła za nią głuchym głosem matka —  
pewnie ranny!  
Golański stoi jak posąg.

Rycerze dotarli do ganku, zsiadli z koci, odsłonili głowy;  
jeden naprzód się  
wysunął. Maryś podniosła na niego pełne niemej prośby  
spojrzenie, pani Hanna  
drżącym głosem zapytała:  
— Gdzież jest Jaśko? Jakąż wieść przynosicie o synu?

— Syn wasz, pani Hanno, walczył jak prawdziwy rycerz w pierwszej bitwie parkańskiej poległ, ocalając życie królewiczowi — odrzekł poważnym głosem pan koniuszy koronny, Marek Matczyński. — Przybywam tu, jako wysłannik króla jegomości, aby was o tej bohaterskiej śmierci na polu chwały zawiadomić. Król i wojsko uczcili go rycerskim pogrzebem, a królewicz opłakał jak brata. Sam wyrywał się tutaj, ale królowa jeszcze go puścić od siebie nie chciała. Przywożę tu wam jego szablę i pukiel włosów, które mi dał królewicz, sam odciawszy je przed pogrzebem. Z piersi pani Hanny łkanie się dobyło, Maryś rzuciła się w jej objęcia z głośnym szlochaniem, Golański drgnął, zbliżył się do nich: — Pan dał, Pan wziął, niech będzie Imię Jego błogosławione — rzekł — popodziękujmy Mu, iż dozwolił Jaśkowi poledz za wiarę świętą, w obronie tego, którego był dworzaninem i towarzyszem. Pani Hanna uklękła i pochyliwszy głowę, wyjąkała zdławionym głosem. — Bądź wola Twoja Panie! — Bądź wola Twoja Panie — powtórzył za nią spokojniej Golański. — On już od miesiąca wiedział,

że syn zginął, lecz nie mówił o tem żonie i córce, bo się  
jeszcze łudził  
nadzieją, teraz pożegnał tylko tę ostatnią nadzieję.  
Najtrudniej było Marysi zapanować nad płaczem, lecz i ona w  
końcu otarła łzy, bo  
ojciec powstawszy, odezwał się surowo:  
— Nie wolno nam płakać i sarkać, gdy Jaśko zginął jako  
prawy rycerz  
chrześcijański, o tych co walczyli z nim razem pomyśleć nam  
należy.  
I poprowadził rycerzy do jadalni, a Maryś zająć się musiała  
przygotowaniem  
obiadu.  
Gdy zasiedli wszyscy razem do stołu, rycerze jęli opowiadać,  
jak chlubnie Jaśko  
walczył pod Wiedniem i Parkanami, jak był kochany przez  
króla, starszyznę i  
rówieśników, jaki wpływ na królewicza wywierał.  
Słuchając tych słów, dziewczę pomimo wzbierającego żalu i  
smutku, traciło w  
sercu gorycz i zniechęcenie, boć tylko nad tymi godzi się  
rozpaczać, którzy  
marnie zejdu z tej ziemi; lecz kto przyłoży rękę do dobra  
ogólnego, choć życie w  
pracy tej odda, ten nietylko czystą duszą w niebie, lecz i u  
potomnych żyje w  
pamięci życiem nieśmiertelnem.

**KONIEC.**